

ISSN 0137-8155

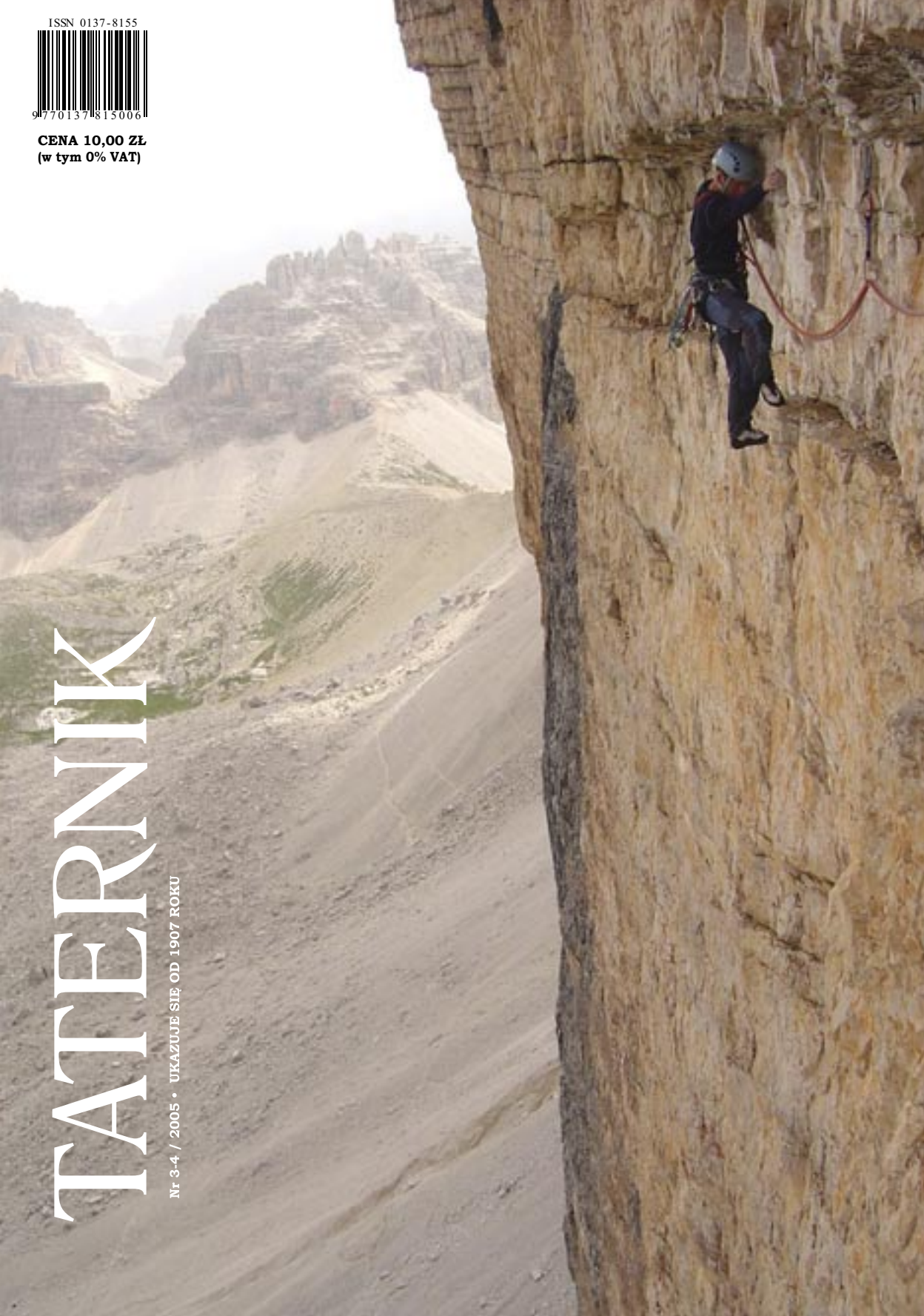


9 770137 815006

CENA 10,00 ZŁ
(w tym 0% VAT)

TATERNIK

Nr 3-4 / 2005 • UKAZUJE SIĘ OD 1907 ROKU





SPIS TREŚCI

Od redakcji.....	1
Lato 2005 w Tatrach Polskich i okolicach (A. Paszczak).....	2
Rozmowy w TPN.....	9
Sezon alpejski w wykonaniu Polaków, lato 2005 (J. Radziejowski).....	11
Trzy tygodnie w Dolinie Paron (B. Kowalski).....	14
Nowa droga na Denali (R. Sławiński).....	17
W śniegu i chmurach. Wiosenne zmagania z Annapurna (P. Morawski).....	19
Everest znaczy marzenie. Old Spice Mount Everest Expedition 2005 (M. Miotk).....	23
Polacy w górach wysokich 2005.....	27
Kandydaci do Złotego Czekana?.....	30
Wyprawa do Jaskini Krubera-Woronia (P. Pilecki).....	32
Cztery śmiertelne ofiary nurkowania w jaskini (W.W. Wiśniewski).....	38
Brazowy medal Mistrzostwa Świata dla Polski (A. Kamiński).....	39
Rozmaitości.....	43
Recenzje.....	50
Wypadki taternicze w lecie 2005 (A. Marasek).....	52
Bugaboos – wypadek z udziałem Polaka (W. Janowski).....	52
Piąta rocznica śmierci Andrzeja Zawady (J. Kurczab).....	53
Kazimierz Głazek (1939 – 2005).....	54
Józef Olszewski (1939 – 2004).....	55
Zygmunt Janas „Kuba” (1930 – 2005).....	56
Janusz Porożyński (1973 – 2005).....	57
Tadeusz Wojtera (1926 – 2005).....	58
Lucien Bérardini (1930 – 2005).....	59

Okladka : Na drodze Cassina na północnej ścianie Cima Ovest di Lavaredo wspina się Michał Kajca. Fot. A. Sokolowski
Obok: Andrzej Marcisz na wyciągu pod Wielki Okap na Filarze Kazalnicy. Fot. A. Paszczak
IV strona okładki : Widok z namiotu na Dent du Géant. Fot. M. Kajca

Od redakcji

Narzekania na pogodę należą już do tradycji podsumowania sezonów i artykułów wstępnych. W Tatrach przez niemal całe lato „lało i lało, było zimno i nieprzyjemne”, jak napisał Artur Paszczak w artykule o sezonie tatrzańskim. Jeśli ktoś pomyśli, że w Alpach było lepiej, to tylko częściowo będzie miał rację. „Przez większość sezonu pogoda nie rozpieszczała” – pisze z kolei Kuba Radziejowski o warunkach w Masywie Mont Blanc. Ktoś, kto uciekł daleko od Europy, może wyszedł na tym lepiej. Ale nie jest to wcale takie pewne...

Jak na panujące warunki atmosferyczne czy śnieżno-lodowe, wyniki sezonu są zupełnie przyzwoite. Nawet w Tatrach przyszła długo oczekiwana pogodna i sucha aura wczesnej jesieni. Gdy wyschły ściany, posypały się przejścia, również na bardziej odległych ścianach słowackich w rodzaju Galerii Gankowej. Na ocenie działalności w górach typu alpejskiego musiały zaciążyć tragiczne wypadki na Centralnym Filarze Frênezy i na Lodospadzie Uszbijskim, w przypadkach których, oprócz pecha, można doszukać się zarówno błędów taktycznych (to na *Frêneyu*), jak i zasadniczych błędów w sztuce (na Kaukazie).

Co jeszcze znajdziemy w tym numerze „Taternika”? Podwójnym właściwie tylko z nazwy, bo jeszcze niedawno 60 stron liczył numer pojedynczy... W dziale „Organizacyjne” relacjonujemy w skrócie niełatwe rozmowy, jakie przedstawiciele Polskiego Związku Alpinizmu prowadzą z dyrekcją Tatrzańskiego Parku Narodowego na arcyważne dla wszystkich wspinaczy tematy, związane z działalnością taternicką na terenie TPN po likwidacji Karty Taternika. W dziale „Góry wysokie” zarówno Piotr Morawski jak i Marcin Miotk piszą o wyprawie na południową ścianę Annapurny, ten drugi również o swoim beztlenowym wejściu na Everest. O rekordowym dla polskich grotolazów zejściu na dno najgłębszej jaskini świata, w obszernym artykule pisze Piotr Pilecki. Już tradycyjnie Arkadiusz Kamiński omawia sukcesy (a były znaczące!) naszych wspinaczy sportowych.

Zdaniem redakcji, głównymi kandydatami do prestiżowej nagrody Złotego Czekana stali się autorzy nowych, poprowadzonych w alpejskim stylu, dróg na ośmiotysięcznych szczytach Broad Peak (Kazachowie Samojłow i Urubko) oraz Nanga Parbat (Amerykanie Anderson i House) – piszemy o tym na stronie 30. Nasuwa się pytanie, – kiedy my doczekamy się naśladowców Kurtyki i Kukuczki, czy sięgając bliżej – Gołębia, Fludera czy Piecucha? Młode pokolenie naszych alpinistów wprawdzie zaczyna już nieśmiało interesować się atrakcyjnymi rejonami w wysokich rejonach Azji, ale do wyczynów na miarę nominacji do Złotego Czekana chyba jeszcze daleko. Miejmy nadzieję, że wystarczy im konsekwencji, że władze PZA zadziałają odpowiednimi „bodźcami”, a góry będą łaskawe... Nie bez kozery wyrażam to ostatnie życzenie, – bowiem trzeba mieć nadzieję, że ostatnie katastrofalne trzęsienie ziemi w Karakorum i Himalajach nie zamieniło wspaniałych, monolitycznych ścian w rumowisko głazów... Nasuwa się taka refleksja: biadłocąc na pogodę, cieszymy się, że nie leżymy w rejonie szczególnie aktywnym sejsmicznie!

Janusz Kurczab

Lato 2005 w Tatrach Polskich i okolicach

Artur Paszczak

W sprawie tatrzańskiej pogody mógłbym w zasadzie napisać to samo, co w zeszłym roku – lata nie było aż do końca sierpnia. Lało i lało, było zimno i nieprzyjemnie. Co bardziej zdeterminowani wykorzystywali małe okienka pogodowe i dokonywali przejść. Jeden mały okres pogody w lipcu umożliwił jako-takie wspinanie, choć było zazwyczaj mokro. Miernikiem warunków jest zazwyczaj Kazalnica – a na niej nie dało się wspiąć aż do schyłku wspomnianego sierpnia.

Z ciekawszych przejść „przedpogodowych” wspomnieć należy przejścia Jana Kuczery i Łukasza Nowaka: *Sayonare* (VIII+) i *Mu Mu Mu* (VIII-, wycena VII+ wydaje się jednak zbyt liberalna), obie pokonane „flashem”.

Tatrzańskie Fanki (VII, 3 wyciągi) na Granatach



Jan Hobrzański na nowej drodze Bez jedynek ani róż na wsch. ścianie Mięszuszowieckiego Szczytu.

Fot. J. Radziejowski

– autorstwa Marcina Poznańskiego i Marka Tkaczyka, – to z kolei nowość w prawej części prawego żebra Skrajnego Granata; brawa za inwencję i styl – tradycyjny OS. Ładnie powspinał się Mateusz Bednarek pokonując (z Piotrem Zabierzowskim) RP *Porfaworę VIII*, oraz m.in. *Łapę VIII*- na Mnichu (z Beatą Pyko). Mariusz Biedruń i Grzegorz Rettinger powtórzyli natomiast *Superatę Młodości* (IX-). W kategorii „wrypy” zapisali się Zbyszek i Joanna Krośkiewicz oraz niżej podpisany i Zbigniew Skierski pokonując z Moka lewy filar Młynarzowych Widel.

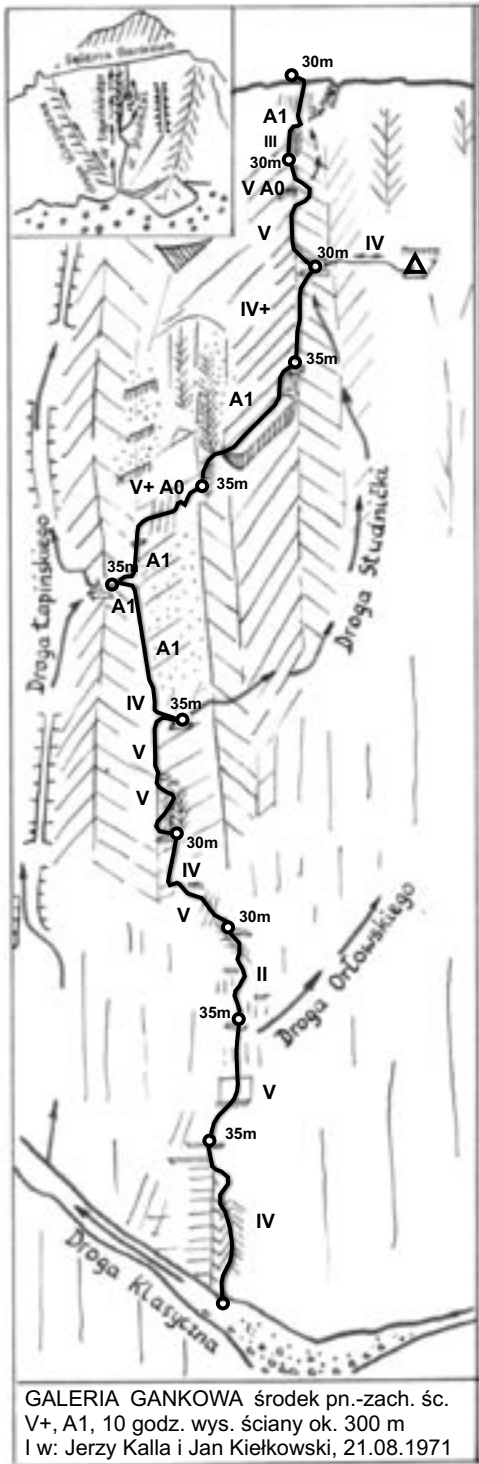
Sądzę, że zniechęcona większość pakowała już szpej do worków i sceptycznie odnosiła się do prognozy mrugającej filuternie z ekranu komputera upragnionym słoneczkiem, a jednak internet nie zawiódł i w Tatrach zagościła piękna pogoda. Wkrótce wyschła Kazalnica i pojawiły się kolejne przejścia, z których najciekawszymi były *Kant Filara Oryginalnie* (VIII: Michał Kajca i Andrzej Sokolowski), i zawsze ceniony *Filar z obejściem* (VII: Krzysztof Sadlej i Tadeusz Kamiński oraz Marcin Tomaszewski solo).

Na Mnichu, powtórzenia doczekał się *Wariant R* (IX-, RP) w wykonaniu Jacka Zaczekowskiego (poprowadził wszystkie wyciągi) i Piotra Zgadzaja. Zespół zjechał sponad okapu.

Warto wspomnieć o rzadko pokonywanej *Cenie strachu*, którą zapisali na swoje konto Sadlej i Kamiński, oraz przebieżce Szczepana Głogowskiego granią Morskiego Oka w 11,5 godz. Przechodzono także *Wachowicza* (VII+: Mateusz Bednarek i Magdalena Waluszek, OS, oraz Michał Kajca i Andrzej Sokolowski, flash), *Fereńskiego* (VII/VII+: Jan Hobrzański i Jakub Radziejowski) oraz kluczowy wyciąg *Łapińskiego* (VIII-: Jakub Radziejowski i Marcin Wernik).

30 sierpnia zespół Piotr Amsterdamski, Jan Hobrzański i Jakub Radziejowski wytyczył *Bez jedynek ani róż* na wschodniej ścianie MSW, 8 wyciągów w sąsiedztwie drogi Kurczaba, pokonując charakterystyczną turnicę. Trudności to V/V+ z jednym wyciągiem VI. Róż zabierać nie trzeba, jedyńki też mogą zostać w domu.

3 września Paweł Kopta i Marcin Wróbel przeszli OS *Buena Vista Social Club* (IX-), oczywiście



na Kościelcu. Następnego dnia podjęli próbe klasycznego przejścia *Proszę się wspinać*, ale ze względu na kruchość i zimno – zrezygnowali.

Parę dni później, 7 września – jednego dnia(!) – powstały na Kazalnicy 3 nowe kombinacje, a za jedną z nich był odpowiedzialny ponownie Paweł Kopta. Jego *Kombinacja Miruy* powstała w wyniku pomyłki – idąc drogą Kielkowskiego Paweł wszedł z *Bazy w Kurtykę-Czyżewskiego* i pokonawszy pierwszy uskok (VII-) zorientował się w pomyłce i strawersował z powrotem do drogi powyżej *Ścianki z jedynekami* (nowość – IV+). Potem ponownie się pomylił (ach, ta topografia...) i *Chrobakiem* przeszedł *Okap Y*. Całość zajęła mu jedynie 6 godz., czego można tylko pogratulować.

Druga kombinacja – *Tu i tam*, autorstwa niżej podpisanego i Tadeusza Grzegorzewskiego – po-

Schemat drogi Jerzego Kalli i Jana Kiełkowskiego na północno-zachodniej ścianie Galerii Gankowej, poprowadzonej przed 34 lata, publikujemy z kilku powodów:

1. W przewodniku Gierycha i Pomianowskiego (s. 83) droga jest rysowana niezbyt dokładnie.

2. Została pominięta w monografii, jaka ukazała się w „Górach” Nr. 5/2004. W to miejsce wysowno drogę słowacką, która w końcuce wyprowadza wprost na Galerię, między drogą Kalla-Kiełkowski a konimem Łapińskiego i Paszuchy.

3. Droga nie ma przejścia zimowego i prawdopodobnie nawet letniego powtórzenia.

4. Autorzy drogi znaleźli bezpieczne miejsce biwakowe w sąsiedztwie platformki w końcowym zacięciu – miejsca tragicznego biwaku Krystyny Lipczyńskiej i Henryka Horaka latem 1964 r. Zacięcie to stanowi główny ściek wody z Galerii Gankowej.

Jan Kiełkowski tak wspomina to przejście:

„Chyba najistotniejsze z moich wspomnień z Galerii Gankowej jest związane z poprowadzeniem nowej drogi w 1971 r. Schemat jej miał być zamieszczony w drugim numerze „Drettissimi”, który niestety nigdy się nie ukazał. Po opuszczeniu drogi Orłowskiego chcieliśmy wprawdzie iść wprost zacięciem, ale równocześnie jak najmniej haczyć, tak że teren zepchnął nas w końcu w stronę drogi Studnička. O zmierzchu dotarłem do stanowiska, na którym zginęli Horak i Lipczyńska (wspinałem się z nimi często w skałkach), więc ściągając partnera rozglądałem się nerwowo po „okolicy” w zapadającym zmroku, wypatrując ewentualnie bezpieczniejszego miejsca na zbliżający się przymosowy biwak. I wypatrzyłem(!) – przewinięcie przez kant zacięcia w prawo (IV) i poziomy, nietrudny (II-III) trawers około 20 m do poziomej półki o szerokości około 1 m, nakrytej przewieszoną ścianą. Fantastyczne miejsce biwakowe w przewieszzonej ścianie! W połowie trawersu słychać wewnątrz ściany szum spływającej wody(!) – w całkowicie bezdeszczowym dniu.

Wcześniej próbował przejść między zacięciami (naszym i Studnička) Tadek Piotrowski, nie pamiętam z kim. Doszli do stanowiska w połowie ukośnego trawersu (hak zjazdowy).”



Andrzej Marcisz na obejściu Wielkiego Okapu na Filarze Kazalnicy.

Fot. A. Paszczak

wstała z połączenia dróg *Chrobaka* i *Kielkowskiego*. Rozpoczyna się *Chrobakiem* (ok. VII+/VIII-, bardzo kruche i mokre, A0), który to wyciąg należy jednak latem omijać biegnącym z lewej *wariantem Małolata* VI+. Następnie trawersuje do *Kielka* (pod wyciąg VII- : trudności IV, być może nowe) i ponownie dołącza do *Chrobaka* na stanowisku powyżej *okapiku* VI-, którym podąża dalej (wyciągowi przez *Y* należy się co najmniej VII- za bardzo solidny ciąg), poczym podnoszącym się trawersem dołącza do *Wariantów Małolata* na ostatnim stanowisku (ok. VI, być może nowe), omijając w ten sposób kruchy komin wyjściowy.

Warto dodać, że wyciąg na *Okapie Y* jest wyjątkowo piękny i spektakularny. Niesamowity ciąg w zupełnej ekspozycji zapewni każdemu moc wrażeń, i tylko ich skala zależeć będzie od „mocy własnej”. Podczas wspinania inspekcji poddano wszystkie stanowiska oraz sporą część haków przelotowych. Usunięto kilka haków-złomów, dobito 2 nowe: w *Bazie* i pod *Y-kim*. Jednakże jakość haków na wspomnianym wyciągu przez *Y*

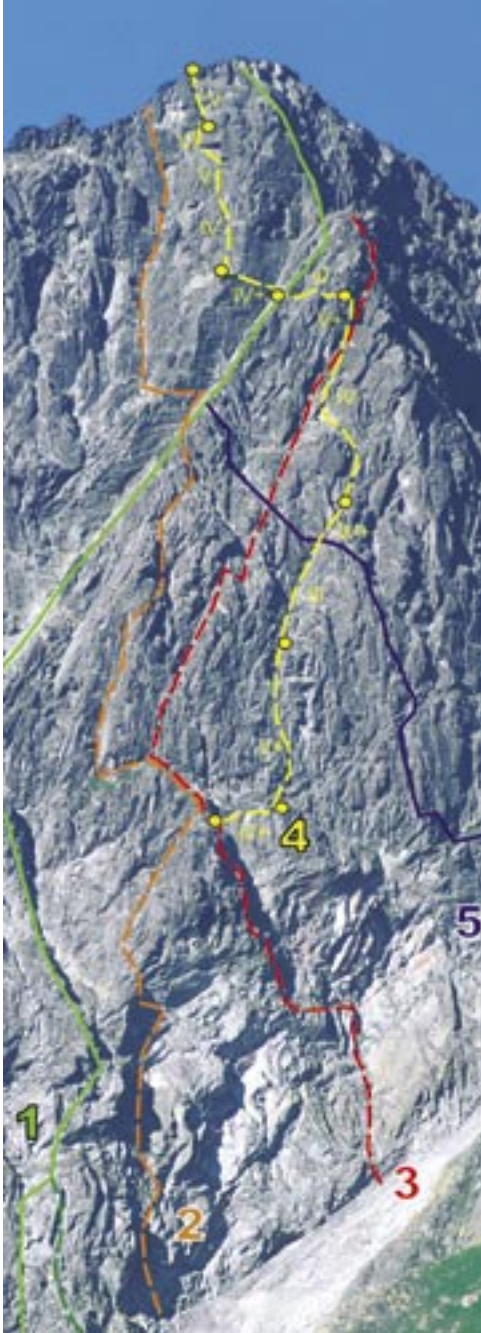
jest bardzo kiepska, i niewątpliwie trzeba będzie je wymienić.

Trzecie z powstałych tego dnia kombinacji – najładniejsza i jedyna, która powstała z wcześniejszym zamysłem – to *Zaczadzony Umysł*, łącząca dół *Wędrówki dusz* z *Filarem z obejściem*. Podobnie przeszli ścianę rok wcześniej Szczepan Głogowski i Jakub Rozbicki, ale oni górę pokonali *Epitafium*. Piotr Korczak i Andrzej Marcisz wybrali w górze *Filar*, co nadaje ich linii bardziej elegancki charakter, i nieco wydłuża drogę. Całość przeszli dwunastoma przedłużonymi wyciągami, (normalnie należy się 14), przejście trwało 7,5 godz. Powstała w ten sposób droga oferuje bardzo duże nasycenie trudności, z wieloma siódmkowymi wyciągami i praktycznie bez żadnego łatwego terenu. W przyszłości (po koniecznym poprawieniu asekuracji) powinna się stać sztandarową drogą skalną Tatr Polskich.

Warto zaznaczyć, że Andrzej Marcisz „obszedł” okap swoim oryginalnym wariantem z roku 1985 (VI+/VII-: „całkowity brak chwytów i stopni, ekspozycja absolutna”), biegnącym po samej krawędzi i wychodzącym na zawieszony filarek. Rzecz wygląda niesamowicie, a asekuracja jest „jaka jest”, bo Andrzej wbił 2 haki i wiele więcej oczekiwać nie należy (haki zostały *in situ*). Warto przy okazji wspomnieć, że istnieją 3 sposoby obejścia: „górny” autorstwa Krzysztofa Pankiewicza, który biegnie 2 metry nad stanowiskiem skośnie w lewo do góry wychodząc ponad stanowisko nad okapem i ma ok. VII-, środkowy, który zaczyna się tak jak górny, ale od stałej jedyńki obniża się i wychodzi wprost na stanowisko (autor?, tak przechodził np. niżej podpisany, trudności VI+), oraz dolny, Marcisza (VI+/VII-). Wszystkie warianty są oczywiście bardzo wymagające psychicznie.

Następnego dnia Kopta dorzucił jeszcze do swego wykazu *Preludium*, VIII, także solo.

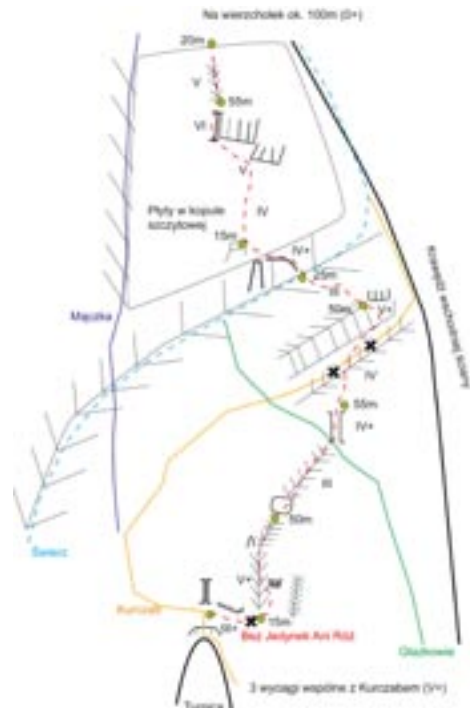
Mniej więcej w tym czasie Marcin Wernik przeszedł na żywcą *Międzymiastową* (VI+) na Mnichu. To piąte przejście tej drogi w tym stylu, a Marcin dobrze się do niego przygotował. Jak zazwyczaj, Marcin odczuł przejście inaczej, niż gdy wspinął się z asekuracją – oprócz trudności droga miała w zanadrzu jeszcze kilka nieoczekiwanie trudnych (dla solisty) miejsc.



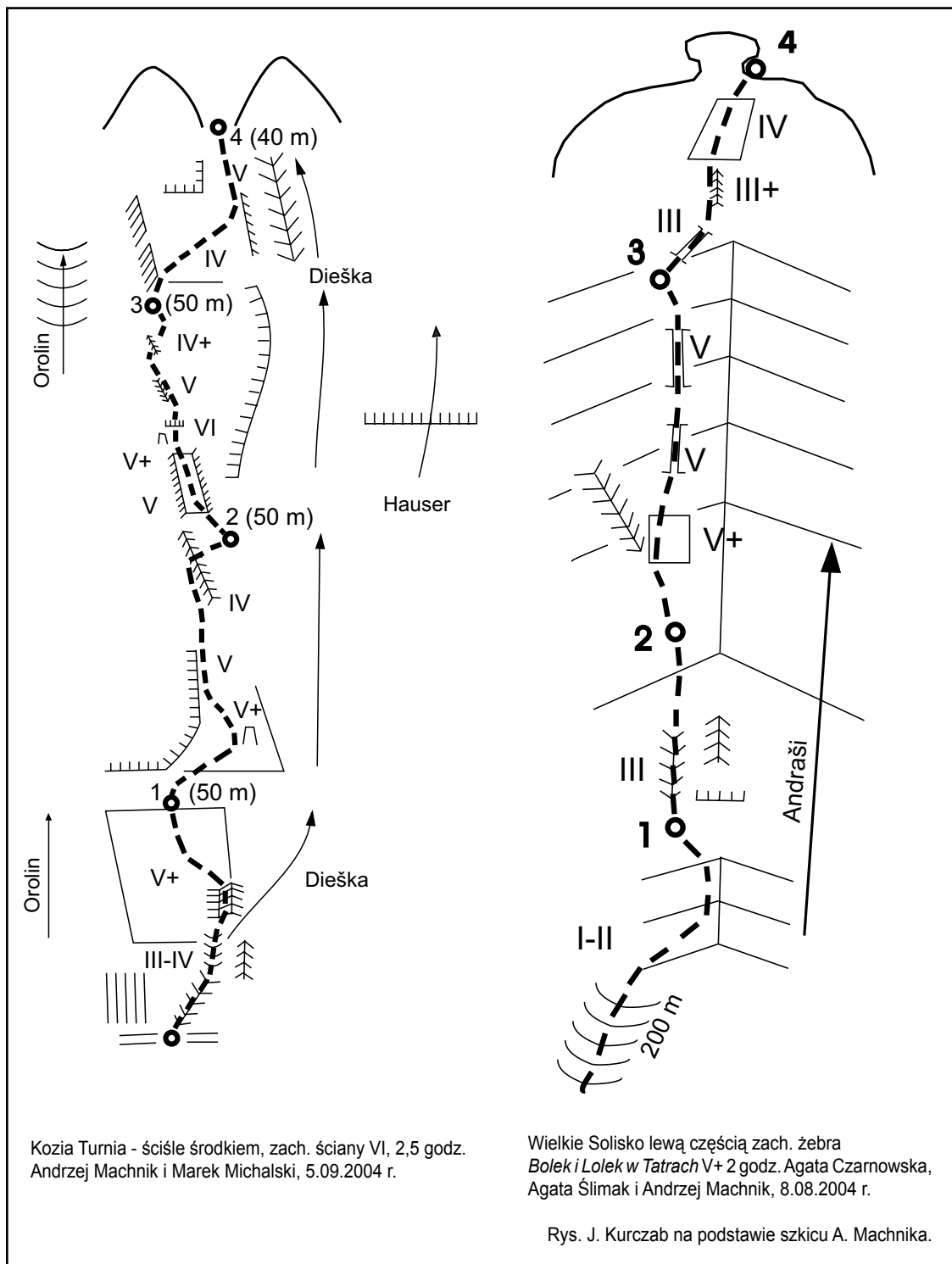
Przebieg nowej drogi na wschodniej ścianie MSW 1. Świerż V-, 2. Mączka V+, 3. Kurczab V+ (m. VI), 4. *Bez jedynek ani róż* V+ (m. VI), 5. Głazkowie VII-; Fot. Grzegorz Głazek – MASTER TOPO; rysowanie dróg na podstawie Master Topo: Jakub Radziejowski.

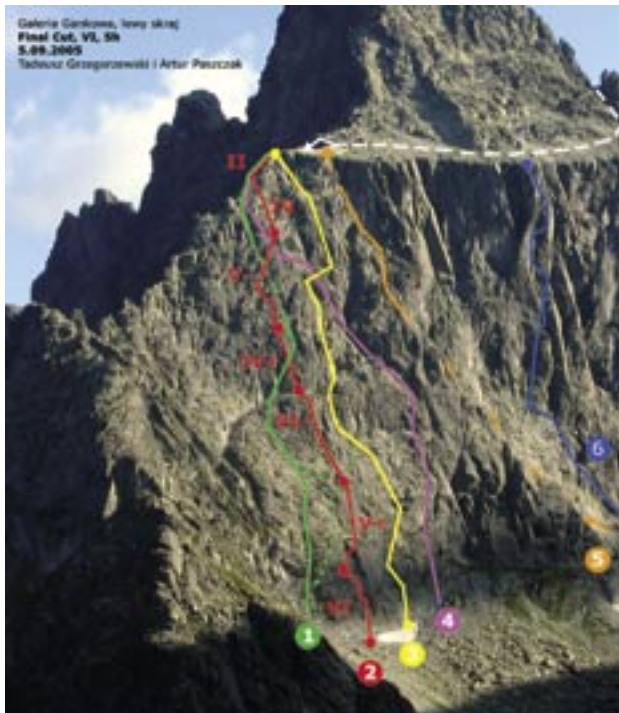
Z kolei 9 września drugiego powtórzenia doczekała się *Metallica IX+*, a autorami byli Jacek Jurkowski i Jerzy Gurba (wcześniej pokonali też *Superate*). Przy okazji przejścia rozgorzała dyskusja na temat wykutego chwytu. Rzecz jasna nikt z nas nie zachwyca tak drastyczna ingerencją, jednak – ponieważ miało to miejsce przed podpisaniem *Porozumienia Tatrzańskiego*, a w relacjach z przeszłością przyjęliśmy zasadę żelaznej kurtyny – obecnie nie ma o co kruszyć kopii. Chwył ten niech pozostanie symbolem popełnionych błędów i przestroga, by więcej ich nie popełniać.

Także 9 września pierwszego powtórzenia doczekała się *Wędrówka dusz*, i był to najmocniejszy akcent polskiego tatrzańskiego lata, choć w wykonaniu słowackim. Slavo Mitro i Matej Balaz nawiązali do czasów *Pająków*, którzy ongiś rozprawiali się z największymi problemami polskiej części Tatr. Slavo *Wędrówkę* określili krótko: „ładna droga, ale nie piękna linia”, co pokrywa się z opinią kilku innych osób, że góra drogi, w stosunku do pięknego dołu, nie utrzymała wysokiego standardu estetycznego. Rzecz padła w stylu RP, najtrudniejsze wyciągi już w 2-3 próbie. Słowackim przyjaciom należą się wielkie słowa uznania.



Schemat drogi *Bez jedynek ani róż*. Rys. J. Radziejowski





Drogi w lewej części ściany Galerii Gankowej. 1. Droga Piotrowskiego III, m-ce V z możliwymi wariantami; 2. *Final Cut* VI; 3. Droga Karouška VI – przebieg niepewny, szczególnie w dolnej części (być może startuje dużo bliżej drogi nr 1 i na lewo od nowej drogi nr 2); 4. Droga Głazka i Smólskiego V+ A2; 5. Droga klasyczna IV; 6. Droga Łapińskiego-Paszuchy VI+/VII-.

Fot. A. Pieprzycki, topo A. Paszczak

Choć chciałbym napisać coś o działalności na Słowacji, to naprawdę niewiele mogę, bo informacji jak zwykle zaledwie garść. Najważniejszą jest oczywiście ta, o przejściu *Vo2max* na Młynarczyku, przez Slavo Mitro (kogóż by innego) i Ivana Mincika. Tym razem werdykt był jednoznaczny „najpiękniejsza droga, jaką robiłem w Tatrach”. No cóż, szkoda tylko, że tego piękna doświadczą tak nieliczni... A przed Slavo – kaski z głów!

Na tym samym



Kuba Radziejowski na ostatnim wyciągu *Bez jedynek ani róż*.

Fot. P. Amsterdamski

Młynarczyku Paweł Kopta prawie przeszedł (z ostatniego wyciągu zmył go deszcz) *Kastratora IX*-. Niżej podpisany i Marek Fliśnik uporali się z *Szewską pasją VII+*, jednak 2xA0 na kluczowym wyciągu.

Na Galerii Gankowej powstała nowa słowacka droga, na prawo od *Centralnego Filara*, jednak bliższych szczegółów na razie nie znamy. Niżej podpisany razem z Markiem Fliśnikiem przeszli *Łapę (VI+/VII-)*, a ruch na Galerii przypominał *Zamarłą Turnię*. Kilka dni później niżej podpisany i Tadeusz Grzegorzewski poprowadzili nową drogę w lewej części Galerii ochrzczone *Final Cut*. Linia o długości ok. 350 m wyposażona została w 15 haków, a jej trudności dochodzą do VI.

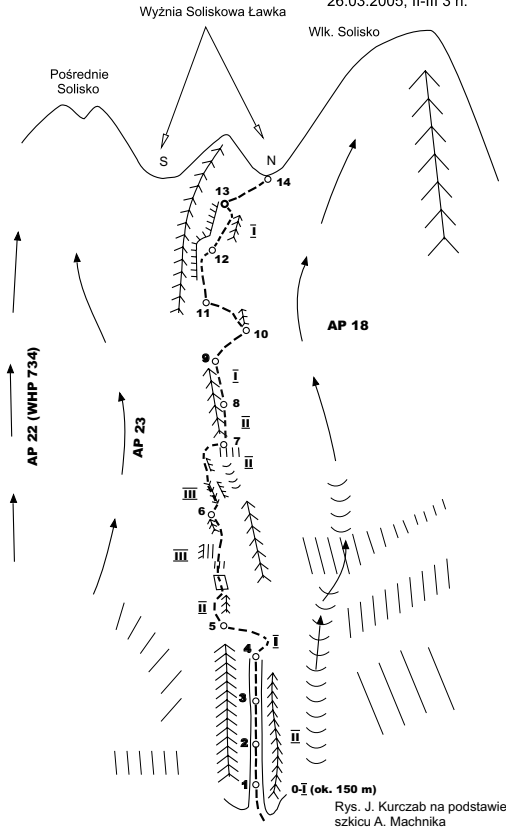
W drugiej połowie września, na pd. Kieżmarskiego pokonane zostały 2 interesujące, a rzadko powtarzane drogi: pierwsza to *Jasterica (VI+)* wymagające wspinanie w rysach (niżej podpisany i Paweł Jachymiak), druga to *Zacięcie Fiali (VII)*: Piotr Korczak i Robert Rokowski – droga dorównująca urodą *Obrowskiemu Kutowi*).

Na zakończenie kilka słów o Porozumieniu tatrzańskim.

Deszczowa aura nieco pokrzyżowała nasze plany, jednak prace ruszyły.

Wyżnia Soliskowa Ławka wsch. Ścianą (z Dol. Młynickiej)

Paulina Pietrzak
i Andrzej Machnik
26.03.2005, II-III 3 h.



Pisałem już wyżej o inspekcji haków na *Kielku*. Andrzej Marcisz i Piotr Korczak przyjrzeni się także hakom na *Filarze* i, jak się wyraził Andrzej, pamiętają one czasy sprzed 20 lat. Pod koniec września Andrzej wraz z Tomaszem Opozda wyczyścili *Wachowicza* – pierwszą drogę, na której umieścimy stałe punkty. Jako że Mnich znajduje się w strefie sportowej, osadzone zostaną spity typu long-life. Dotyczy to oczywiście stanowisk i wszystkich tych miejsc, gdzie standardowy zestaw kości i camów (4 duże 2-0.5 i 4 małe do 00) nie pozwoli bezpiecznie się zaasekurować. Liczymy na to, że „odnowiony” *Wachowicz* stanie się wizytówką naszej akcji – jedną z najpiękniejszych dróg w Tatrach, którą będzie się pokonywać bez młotka, acz z pełnym „zestawem ruchomym”. Myślę, że jest to ten „złoty środek”, który wynika z ducha *Porozumienia*.

Po obejrzeniu na własne oczy koszmarnego stanu haków na Mniechu Andrzej jest tym bardziej zdeterminowany, aby oczyścić *Zerwę*, a szczególnie *Filar*. To, co się tam znajduje – to iluzja. Przy okazji ponownie apelujemy, abyście zabierali jednak ze sobą młotek, dobijali, opukiwali i usuwali to, co ewidentnie usunięte być musi. Jeśli nie w celach społecznych, to róbcie to dla własnego bezpieczeństwa. Nade wszystko zaś nie ufajcie nie sprawdzonym hakom – bez żadnej przesady – jest to realne niebezpieczeństwo i każdy musi się z nim liczyć.



Mur Jaworowych Szczytów od północy.

Fot. J. Nyka

Rozmowy w TPN (wybrane zagadnienia)

16 maja 2005

Obecni: Z ramienia TPN: Dyr. Paweł Skawiński, dyr. Paweł Czubernat, Lesław Oprowski, Józef Chowaniec. Z ramienia PZA: Jerzy Natkański, Maciej Pawlikowski, Włodzimierz Porębski, Artur Paszczak, Artur Hajzer, Andrzej Ciszewski, Bogumił Słama.

Ruch taternicki na terenie TPN

1. Dyrekcja Parku uznała za możliwe, aby ruch taternicki na terenie TPN odbywał się na podstawie legitymacji klubowej z opłaconymi składkami. Legitymacja taka jasno musiałaby wskazywać, że dany klub jest zrzeszony w PZA.

2. PZA dokonywałaby corocznie wykupu prawa do wspinania („licencji”) na terenie TPN dla wszystkich swoich członków za jedną ryczałtową sumę. W rozumieniu obu stron byłaby to suma symboliczna. Postulowane przez PZA połączenie funkcji wykupu ryczałtowego „licencji” z ryczałtową opłatą za wejście do TPN będzie osobno analizowane w zespole roboczym PZA-TPN.

3. PZA akceptuje i całkowicie popiera wymóg TPN, aby wspinacze mieli obowiązek wpisywania się do książek wyjść, co oprócz celów bezpieczeństwa miałyby spełniać także funkcje kontrolną.

4. Wspinacze zagraniczni, oraz ew. osoby spoza PZA, mogliby wykupywać w TPN licencje zezwalające na wspinanie w rejonie TPN na zasadach komercyjnych. PZA proponuje, aby członkowie zagranicznych klubów zrzeszonych w UIAA i dysponujący odpowiednią legitymacją uzyskiwali 50% zniżki.

Baza tatrzańska

1. Dyrekcja przedstawiła tezy planu zagospodarowania przestrzennego dla TPN, który zmierza do likwidacji struktur poza schroniskowych, w tym taborów.

2. Dyrekcja poinformowała o planie elektryfikacji Hali Gąsiennicowej i związanej z tym inwestycji w oczyszczalnię ścieków w rejonie „Betlejemki”.

3. TPN i PZA zaakceptowali, że taborisko „Rabaniska” na Hali Gąsiennicowej będzie funkcjonować przez najbliższe 3 lata, a następnie zostanie zlikwidowane. W zamian za zlikwidowany tabor, TPN proponuje następujące alternatywy: – zagospodarowanie 3 szalasów w rejonie Betlejemki – zagospodarowanie budynku tzw. „laboratorium” lub „stajni”. PZA przeanalizuje możliwości realizacyjne obu projektów.

4. TPN zgodził się, że obozowisko na Polanie Rogoźniczańskiej będzie funkcjonowało na dotychczasowych zasadach.

5. W sprawie obozowiska „Szalasiska” w Morskim Oku TPN przyjął do wiadomości stanowisko PZA o postulowanym utrzymaniu taboru przy jednoczesnym zmniejszeniu jego uciążliwości dla środowiska i analizie dostępnych alternatyw. Przedstawiciele PZA podnieśli argument, że tabor funkcjonuje tylko w okresie dwóch i pół miesiąca w roku, toteż jego oddziaływanie na środowisko powinno dać się ograniczyć do minimum przy usunięciu z jego terenu funkcji sanitarnych.

Nowe rejony udostępnione dla działalności taternickiej

1. Dyrekcja Parku potwierdziła, że masyw Wielkiej Turni zostanie w najbliższym czasie otwarty dla wspinaczy w okresie od 15 grudnia do 15 kwietnia.

2. W sprawie północnej ściany Giewontu TPN zgodził się rozważyć możliwość warunkowego, częściowego i ograniczonego czasowo udostępnienia masywu w ramach monitorowanego eksperymentu przyrodniczego.

3. PZA potwierdził swoje żywotne zainteresowanie możliwością udostępnienia Raptawickiej Turni. Zwrócono uwagę, że ściana znajduje się w bezpośrednim sąsiedztwie uczęszczanych szlaków turystycznych.

12 września 2005

Obecni: Ze strony TPN: Dyr. Paweł Skawiński, dyr. Zbigniew Krzan, Szymon Ziobrowski. Ze strony PZA: Jerzy Natkański, Artur Paszczak.

1. PZA ustosunkował się do przedstawionej w piśmie TPN z dnia 25 sierpnia 2005 propozycji regulacji ruchu taternickiego poprzez sprzedaż hologramów upoważniających do wspinaczki w danym roku w cenie 35 zł/szt.



Rys. M. Dunin-Sulgustowski

Przedstawiciele PZA uznali, że propozycja ta wprowadza wiele komplikacji natury organizacyjnej i nie pozwoli uniknąć większości z tych problemów, jakie stwarza koncepcja licencji. PZA zwrócił uwagę, że skoro wszyscy wspinacze mogliby wykupywać hologramy w klubach, to z punktu widzenia praktycznego prościej jest przyjąć rozwiązanie oparte na opłacie ryczałtowej wnoszonej przez PZA dla wszystkich swoich członków i pozostać przy legitymacji, jako podstawie uprawniającej do wspinania.

2. P. Szymon Ziobrowski podniósł argumenty, że TPN nie może udzielać preferencji PZA, że PZA nie reprezentuje wszystkich wspinaczy oraz że ew. opłata za wszystkich członków PZA musiałaby być bardzo wysoka, aby pozostać w relacji do ilości członków.

3. Przedstawiciele PZA argumentowali, że TPN może udzielać preferencji organizacjom, że PZA jest bezspornie największą

organizacją skupiającą taterników, oraz że wysokość opłaty należałoby oprzeć na faktycznych danych dotyczących ruchu taternickiego na przestrzeni ostatnich 3 lat. Jednocześnie PZA zwrócił uwagę, że nic nie stoi na przeszkodzie, aby osoby nie zrzeszone w PZA mogły zakupywać licencje w TPN na normalnych warunkach.

4. Dyrektorzy Skawiński i Krzan przyznali, że taka propozycja jest możliwa do rozważenia, pod warunkiem dostarczenia odpowiednich i wiarygodnych danych.

5. W związku z tym PZA sprecyzował swoje stanowisko w następujący sposób:

- a. PZA płaci coroczną opłatę ryczałtową opartą na danych o ruchu taternickim.
- b. Każdy członek klubu zrzeszonego w PZA wspinają się na terenie TPN na podstawie legitymacji klubowej z opłaconymi składkami.
- c. PZA ujednolici legitymacje klubowe, tak aby jasno zawierały informację o tym, że dany klub jest członkiem PZA. Propozycja: ostatnia strona legitymacji byłaby opatrzona logiem TPN i informacją: „posiadacz niniejszej legitymacji jest uprawniony do uprawiania taternictwa na terenie TPN”
- d. Osoby nie zrzeszone w PZA nabywają licencje TPN indywidualnie.
- e. Osoby zagraniczne zrzeszone w klubach-członkach UIAA są uprawnione do 50% zniżki.

6. PZA zobowiązał się do dostarczenia w terminie do 7 października danych o natężeniu ruchu taternickiego opracowanych na podstawie książek wyjść z ostatnich 3 lat.

Biuro Zarządu PZA

Sezon alpejski w wykonaniu Polaków, lato 2005

Jakub Radziejowski



Filary Fréney.

Fot. J. Kurczab 2005

Sezon alpejski choć nieco lepszy niż tatrzański (w lipcu i sierpniu) to jednak zdecydowanie daleki od ideału. Jak zwykle plany były wielkie, a realia bezlitosne. Przez większość sezonu pogoda nie rozpieszczała (jeden z kolegów podczas czterotygodniowego pobytu w Chamonix – trzy spędził w namiocie) i trzeba było dużo szczęścia by trafić w dobrą pogodę.

Niestety cieniem na całym sezonie wspinaczkowym położyło się kilka śmiertelnych wypadków w Alpach i na Kaukazie, spośród których jeden miał miejsce tuż po ukończeniu trudnej drogi wspinaczkowej w rejonie Mont Blanc. Chodzi oczywiście o śmierć Janusza Porożyńskiego, który już po ukończeniu Centralnego Filara Fréney, spadł podczas podejścia do wezwanego wczę-

śniej na pomoc helikoptera (Janusz wspinał się z Pawłem Przybyszem). Dla Janusza była to pierwsza wspinaczka w Alpach.

Tego lata wiele zespołów wycofywało się ze względu na gwałtowne załamania pogody i nie tylko. Wycofywano się więc z Grand Capucin (między innymi samotna próba Marka Raganowicza na jednej z masywnych hakówek), Petites Jorasses (*Anouk* i *Mon cœur est Espagnol*), Petit Dru (po kolejnym obrywie droga *Directe américaine* okazała się być przysypana „żwirrem”), z dróg na Iglach, a także z *Filara Walkera* na Grandes Jorasses. W tym ostatnim przypadku dwa zespoły zostały ewakuowane ze ściany na raty. Najpierw pierwszy z polskich zespołów (Paweł Józefowicz, Krzysztof Sadlej) uległ wypadkowi (obryw, kamienie,

krewn...), a Paweł został zabrany przez helikopter. Krzysiek dołączył do drugiego zespołu (Paweł Fidyk, Michał Kasprowicz) i razem osiągnęli oni



Andrzej Sokolowski na drodze szwajcarskiej na Grand Capucin.

Fot. M. Kajca



Paweł Józefowicz pod śmigłem. Fot. K. Sadlej

wysokość ok. 4000 m gdzie znacznie pomylili drogę i po drugim mroźnym biwaku na stojąco zostali o poranku ściągnięci przez helikopter.

Wypadkowi, na szczęście niegroźnemu, uległ też polski zespół wspinający się na Marmoladzie (*Via Olimpo*), jednak w tym przypadku dzień wcześniej udało się Pawłowi i Janowi pokonać bardzo ciekawą drogę *Vivat Gorbi* (VIII, RP).

Tym bardziej więc należy się cieszyć z tego, co padło. Nawet jeżeli było krótko...

Oprócz przejścia *Frêne*y'a z dłuższych dróg padł jeszcze *Filar Gervasutiego* (Agnieszka Tyszkiewicz i Marcin Wernik) oraz droga Kneza na północnej ścianie Eigeru. To drugie (Maciej Przebitkowski oraz Maciej Sokołowski) jest o tyle ciekawe, że jest to prawdopodobnie jej pierwsze polskie przejście. Droga Kneza (oryginalnie IV+, 650m) znajduje się w skrajnie prawej części ściany i według autorów powtórzenia jej wycena powinna oscylować bardziej w granicach VI. Co więcej, Polacy nie są do końca pewni przebiegu drogi i są teraz na etapie ustalania szczegółów ze Słoweńcem. Droga jest bardzo krucha i zapewnia asekurację średnio 2-3 przeloty na wyciąg. Dwa dni wcześniej ten sam zespół wytyczył 300 metrowy wariant do drogi Kneza (na prawo) o wycenie VI, jednak po połączeniu się z nią zjechali

do podstawy ściany. Panowie zapowiadają powrót w przyszłym roku i dokończenie niezależnej drogi.

Poza tym wspinano się na drogach krótszych, acz trudniejszych technicznie.

Z ciekawszych przejść trzeba wspomnieć o przejściu (nie zakończonym niestety zdobyciem wierzchołka) *Voyage selon Gulliver* (7a/7a+ RP oraz 2 nie odhaczone prawdopodobnie jeszcze wahadła A0, jedno być może jest odhaczone...?) na Grand Capucin w wykonaniu Michała Kajcy i Andrzeja Sokołowskiego. Startując drogą *Elixir D'Astaroth* (3 wyciągi do 6b+) zespół osiągnął półki skąd zaczyna się właściwa droga. Łącznie pokonano 13 wyciągów w tym całe trudności. Niestety na ok. 2 wyciągi przed szczytem (trudności do V+) zespół został zmuszony do wycofania się (nagle załamanie pogody i burza śnieżna). Michał i Andrzej raportują, iż na drodze została wymieniona asekuracja (stanowiska ze spitów i karabinki zjazdowe, oraz 6-7 spitów przelotowych). Poza spitami na drodze jest jeszcze ok. 15 haków więc trzeba się porządnie wysilić z asekuracją. Zespół spędził pod Capucinem 7 dni i tylko tego dnia udało im się wspiąć – ten przykład najlepiej świadczy o warunkach panujących w Alpach w tym roku.

W sierpniu na odbywającym się w ENSA zgrupowaniu (organizowanym przez FFME) przebywał zespół Łukasz Kiecoń i Łukasz Warzecha. Warunki, jakie panowały w tym czasie (opad ciągły, z jednym „oknem”) powodowały, że każde podejście pod ściany kończyło się na różnego typu zajęciach – asekuracja na lodowcach, przejścia graniowe, wspinanie w terenie mieszanym itd. Wspinąć się po prostu nie dało, a wspinaczka na drogach piątkowych groziła odmrożeniami.

Z innych przejść alpejskich na uwagę zasługuje przejście drogi Mazeaud na Aiguille du Midi (do połączenia z *Rebuffatem*) oraz kilka przejść na Igłach (m.in. *Tout va Mal*).

W Dolomitach oprócz wspomnianego wcześniej przejścia na Marmoladzie (Paweł Bźdzziel, Jan Kuczera), w ramach rozgrzewki przed Capucinem na Cimach wspinali się Michał Kajca i Andrzej Sokołowski. Pokonali oni m.in. trudny dolomicki klasyk: *Cassina* na Cimie Ovest.

Jak co roku, w Norwegii działał warszawski zespół Jarosław Bonk, Robert „Koparka” Burak i Piotr Włodarczyk, który na dzień dzisiejszy ma chyba zaliczonych najwięcej różnych ścian w dolinie Romsdal. Tym razem przeszli kilka długich i rzadko chodzonych dróg. W planach była też droga szwedzka na Trollach jednakże regularnie spadający ścianą sprzęt AGD/RTV zniechęcił zespół do podjęcia walki.



Na drodze *Subtilites Dulferiennes* na Aiguille de Roc wspina się Krzysztof Sadlej. Fot. M. Nowak

Jak zwykle może się okazać, że jakies ciekawe przejścia w Alpach umknęły mojej uwadze, za co z góry przepraszam. Jednocześnie apeluje o nadysłanie swoich alpejskich dokonań na adres Taternika.

DOLOMITY:

Michał Kajca, Andrzej Sokołowski:

Cima Grande di Lavaredo, *Via Comici* (VII, OS), 28 lipca;

Cima Ovest di Lavaredo, *Via Cassin* (VIII-, OS), 30 lipca;

Paweł Bzdziel, Jan Kuczera

Marmolada, *Vivat Gorbi* (VIII, RP), 7 sierpnia;

ALPY:

Maciej Ciesielski, Katarzyna Okuszeko

Małe Yosemite, *Elle a du le faire* (6b+, OS, 100 m), 20 lipca;

Tour Verte, *Homologue Exceptionelle* (6c+, OS, 200 m), bez wejścia na szczyt, 20 lipca;

Aiguille du Midi, *Voie Mazeaud* (6c+/7a, OS, 150 m), 26 lipca (zrobione tylko do połączenia się z drogą Rebuffata)

Aiguille du Midi, *Voie Contamine* (6c, OS, 200 m), 27 lipca;

Janusz Porożyński, Paweł Przybysz

Mont Blanc, *Centralny Filar Fréney* (VI, A2) 21-23 lipca, dół zrobiony wspólnie z drogą *Lafaille'a A2*;

Agnieszka Tyszkiewicz, Marcin Wernik

Mont Blanc du Tacul, *Filar Gervasuttiego* (6a, A0, 800 m), 26-27 lipca;

Michał Kajca, Andrzej Sokołowski

Grand Capucin, *Voyage Selon Gulivier* (7a+, RP, 2xA0 - dwa wahadła), 10 sierpnia (bez wejścia na wierzchołek - załamanie pogody), start drogą *Elixir d'Astaroth*;

Michał Nowak, Krzysztof Sadlej

Premiere Pointe des Nantillons, *Elle a du le faire* + *Guy-Anne* (6b+, OS, 350 m), 9 sierpnia;

Aiguille de Roc, *Pedro Polar* (6b, RP, trudności OS, 350 m), 12 sierpnia;

Michał Dziedzic, Marcin Nowogrodzki

Aiguille de Roc, *Tout va mal* (6b OS, 7a AF, 500 m, 6 godz.), 10 sierpnia (wyciąg 7a to prostowanie wahadła występującego na drodze, w oryginale omijanego terenem 6a+);

Aiguille de Roc, *Pedro Polar* (6b, OS, 300 m, 5 godz.), 12 sierpnia;

Łukasz Kiecoń, Łukasz Warzecha

Aiguille de Roc, *Pedro Polar* (6b, OS/flash, 300 m), 10 sierpnia;

Cezary Klincewicz, Wojciech Krzyżewski, Mariusz Serda;

Aiguille du Midi, *Voie Contamine* (6c, OS, 200 m), 17 sierpnia;

Maciej Przebitkowski, Maciej Sokołowski

Eiger, własne warianty w prawej części pn. ściany, do połączenia z drogą *Kneza* (VI, TD, 300 m), 29 sierpnia;

Eiger, *droga Kneza* z roku 1982 (oryg. IV+, w rzeczywistości VI, TD, 650 m 8 godz.), 31 sierpnia;

NORWEGIA:

Jarosław Bonk, Robert Burak, Piotr Włodarczyk

Trolltindene, *Filar Brudgommen*, *Fiva Ruta* (VII-, 1600 m, 12 godz.), 5 lipca;

Gokskoyra, *Norskerute* (VII-, 1000 m, 12 godz.), prawdopodobnie pierwsze polskie przejście;

Hornaksla, *Sportsmalstegnet* (VI, 400 m 4 godz.);

Trzy tygodnie w Dolinie Paron

Bogusław Kowalski



Gdy na początku swojej kariery wspinaczkowej trafiłem do toruńskiego Klubu, największymi jego postaciami byli Tadeusz Łaukajtys i Ludwik Wilczyński. Z czasem usłyszałem o słynnej w naszym środowisku, pierwszej wyprawie KW Toruń w Andy. Słynnej, bo razem z rejsem w dwie strony trwała ona sześć miesięcy. Największym sukcesem w jej trakcie było zdobycie pd.-zach. filara Huandoy Oeste. Wspomnianej dwójce we wspinaczkę towarzyszyli Wojciech Szymański oraz Eugeniusz Chrobak (z KW Kraków). Od tamtego czasu w Andach działały jeszcze trzy wyprawy z grodu Piernika. Gdy dwa lata temu przeczytałem relację Adama Potoczka ze zmagania na Sfinksie i Artensoraju, wiedziałem, że prędzej czy później trafię do słynnej Cordilliera Blanca.

W niedzielne popołudnie znaleźliśmy się z Arkiem w bazie pod Sfinkssem moją uwagę przykuwały potężne zerwy Huandoy oraz spektakularna zachodnia ściana Chacararaju. Granitowy Sfinks majączył gdzieś za małą moreną. W ramach ciężkiej aklimatyzacji postanowiliśmy „rozpoznać bojem” linię zjazdów. Wyszedł z tego wariant lub droga *Czekając na Jurka*. Bardzo nieprzyjemnie było w dolnej części ściany, w płytach nie było jakiegokolwiek rzeźby. Pomiędzy stanowiskami po prostu nie zakładaliśmy przelotów. Gdy dotarliśmy do linii zjazdów ściana „puściła” i krótko przed zachodem słońca stanęliśmy na siodle Sfinksa. Niestety, wyszliśmy na lekko i nie zabraliśmy czołówek. Na skutek tego do namiotu dotarliśmy z niemilosiernie powykręcanyimi kostkami. Na miejscu okazało się, że się doczekaliśmy – dotarł do nas Jurek, jednak bardzo sponiewierany wyjazdem taksówką z 2800 na 4200 m.

Po dwóch dniach zdecydowaliśmy się na kolejne wyjście kondycyjne. Nie spieszyliśmy się zbyt i na wysokości około 5100 m, przy lekkim opadzie śniegu, mocnym wietrze i trudnościach wymagających wyjęcie liny z plecaka, za to w dobrych humorach postanowiliśmy zawrócić do bazy.

Między kolejne dwa dni i znowu wyszliśmy tym razem zmierzyc się z najpopularniejszą drogą w ścianie Sfinksa *Original Route*. Przed nami ręczo zasuwali Josh Wharton i Brian McMahon robiąc

wariant *King of Thebes*.

Wzajemnie się motywując dość szybko przeszliśmy pierwszą partię ściany. Kluczowe trudności w pięknym stylu przeprowadził Jurek potwierdzając, że nie przyjechał do Peru „na doczepkę”. Górna część ściany to niezliczone zacięcia, z których spora część to „zapychy”, a wariantów przejścia jest całe mnóstwo. Nam udało się zabrać w teren wymagający ekwilibrystycznych trawersów. Straciliśmy na tym ogromną ilość czasu, stąd informacja o szybkim siedmiogodzinnym przejściu Brytyjczyków nie robiła wrażenia, my wspinaliśmy się w trójkę, a na szczycie stanęliśmy po dziewięciu i pół godzinie. Za to czas Joshua i Briana osiągnięty dwa dni wcześniej – cztery i pół godziny jest moim zdaniem bardzo wyśrubowany. Wtedy jeszcze nie wiedzieliśmy, że Josh wróci na *Original* i robi ją free solo w godzinę i dwadzieścia osiem minut.

Po dwudniowym odpoczynku, spożytkowanym na zakupy w Caraz, ruszyliśmy pod Sfinksa znaleźć miejsce na własną, polską drogę. W grę wchodziły zacięcia na lewo od Cruz del Sur lub zacięta, południowa ściana. Gdy okazało się, że na wschodniej ścianie droga byłaby typu „pomiędzy Łapińskim, a Paszuchą” zdecydowaliśmy się na wspinanie w cieniu.

Byłem kierownikiem naszej wycieczki wypadało mi więc dać kolegom przykład i pierwszego dnia poprowadziłem sześćdziesięciometrowy wyciąg. Wymagał on czyszczenia rys z ziemi i dużej koncentracji z powodu kruszyzny. Przed oczami stała mi wizja lotu z ukruszonym sprzętem AGD, a później trafienie liny lub asekurujących mnie na przemian Arka i Jurka.

Następnego dnia miałem dzień odpoczynkowy, wyszedłem jednak pod ścianę wyposażony w lornetkę pożyczoną od pary przesympatycznych Duńczyków: Karen i Christiana. Gdy zacząłem lustrować ścianę Jurek kończył już swój wyciąg. Przyszła kolej na Arka po łatwym fragmencie wszedł on w kolejny, bardzo kruchy fragment drogi. Ja posiłkując się lornetką próbowałem pomagać w wyborze kierunku oraz usiłowałem rozoznać górną część ściany.



Original Route na wschodniej ścianie Sfinksa.
Jerzy Stefański na wyjściu z okapu 7a.

Fot. B. Kowalski

Trzeci i ostatni dzień poręczowania rozpoczął się od wahadła, które musiałem zrobić, żeby dostać się do formacji. Po krótkim wyciągu zmienił mnie Jurek, jednak jego próba przejścia okapu z prawej strony skończyła się niepowodzeniem. Ja dla odmiany poszedłem w lewo i po bardzo uroz-

maiconym i psychicznym wyciągu zakończyliśmy rozpinanie naszych sznurów. Dzień odpoczynku spędziliśmy wylegając się na kamieniach i obserwując „Argentina Train” – czteroosobowy zespół, który już trzeci dzień walczył na *Original Route*.

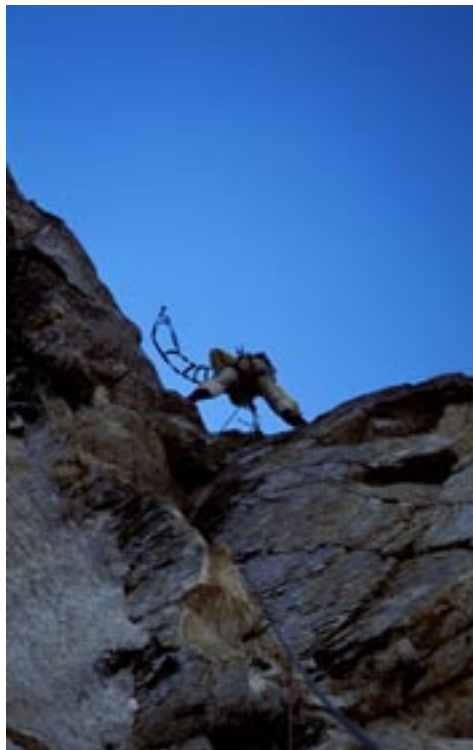
Głęboką nocą wyszliśmy z bazy, by przed świtem znaleźć się pod ścianą. Małpowanie będzie dla mnie na zawsze zniechęcającą czynnością na big wallu. Tym razem miałem szczególne powody do rzucania bluzg – żeby zaoszczędzić na wadze wzięliśmy tylko dwa komplety małp. Dlatego pierwsze „pałowanie” musiałem wykonać na prusikach. Gdy ja walczyłem z węzłkami Jurek przeprowadził kolejny trudny wyciąg hakowy okraszony lotem. Niepostrzeżenie rozhulał się wiatr i zrobiło się bardzo zimno. Dotarłem do Jurka, a nad nami z hakówką w płytach moził się Arek. W końcu wyszliśmy w łatwiejszy teren i mogliśmy przyspieszyć. Moją rolą było wyprowadzenie zespołu do miejsca, w którym da się przenocować. Niestety mimo kolejnych pokonywanych metrów i zapadających ciemności nie mogłem znaleźć żadnej rozsądnie wyglądającej półki, w dodatku znowu zrobiło się bardzo krucha.

Zmienił mnie Arek i doszedł do czegoś co mogło nam posłużyć za biwak. Ponieśliśmy przy tym dużą stratę, na żyłę po której małpował Jurek, kamień przeciął koszulkę. Wymościliśmy sobie miejsca do kucania i zjedliśmy po smacznym „lifiofie” подарowanym przez poznane w Caraz, dziewczyny z Katowic. Weszliśmy do plecaków – żeby się nie obciążać nie zabraliśmy w ściane



Przebieg drogi *Wyjście z Cienia* na południowej ścianie Sfinksa.

Fot. B. Kowalski



Wyjście z Cienia – Jerzy Stefański na dwunastym wyciągu 6b A2 – nad stanowiskiem... i nieco wyżej

Fot. B. Kowalski

śniworów – i zaczęło się wyczekiwanie na poranek. Takie noce nigdy się nie kończą, zawsze jest zimno największe jakie można sobie tylko wyobrazić, a szczególną irytację wzbudzają światła. Tym razem były to miasta, miasteczka i wioski andyjskie. Kolejny dzień zaczął się od rozczarowania, nie dotarło do nas poranne słońce. Ażeby się ogrzać w jego promieniach musieliśmy skończyć drogę.

Na pierwszy ogień poszedł Jurek, najpierw dotarł pod przeraźliwie kruche okapy, a później przedarł się przez nie, mając nas pod sobą jak na celowniku. Do dziś nie wiem jak to wszystko nie spadło? Później przysła kolej na mnie. Krótka hakówka, kruchy klasyczny pasaż i znalazłem się w łatwym terenie. Nad głową widziałem osłonecznioną grań. Kolejny wyciąg był już dla ludzi, klasyczny. Wspinając się po skałach, starałem się omijać płyty śniegu i niemal nie zgruzowałem przy tym kolegów, zrzucając ogromny kamień. Ostatnie stanowisko w ścianie wypadło dwadzieścia metrów pod granią, miałem tam dużo czasu, żeby się nacieszyć sukcesem.

Czułem również rozczarowanie, że kończy się ściana i kończy się nasza przygoda. Żadna wspinaczka dotychczas nie przyniosła mi tylu radości, tu naprawdę mieliśmy swobodę. Gdzie wola tam droga. Najbliższa była czterysta może pięćset metrów w prawo. Poczucie nieokiełznanej wolności sprawiało ogromną frajdę mimo zimna i wiatru, mimo mroźnego biwaku, mimo kruszyzny. A nagrodą było ciepłe słońce, gdy już *Wyszliśmy z Cienia*.

Po dwóch dniach odpoczynku przenieśliśmy się pod Artensoraju, aby spróbować sił w zupełnie innej dyscyplinie. Weszliśmy w śnieżną południową ścianę. W miarę pokonywanych metrów wyprzedzaliśmy kolejne zespoły. Gdy zrobiło się jasno okazało się, że jesteśmy w prawej części ściany. Łatwa droga normalna została daleko z lewej. Nie pozostało nic innego tylko przebijać się na przemian przez seraki i szczeliny.

Z pewnością bardzo nierozsądnie zwalczyliśmy pokusę wyciągnięcia liny z plecaka. Nagrodą za całe to łażenie po śniegu był widok. Niesamowity widok na mnóstwo przepięknych szczytów Cordillery Blanca. Warto było.

Po zejściu do Camp Lago Paron, Jurek zdecydował, że jego odmrożony na czarno palec jest mu jeszcze potrzebny i tym samym zrezygnowaliśmy z przejścia Cruz del Sur. Ale jeszcze prawie tydzień spędziliśmy w miastach leżących u podnóża Białej Kordyliery. W słynnej wśród wszystkich wspinaczy dyskotecce Tambo, w Huaraz, świętowaliśmy urodziny Jurka.

Ociągaliśmy się z wyjazdem do zatłoczonej Limy, pełnej hałaśliwych i smrodzących samochodów. Moja fascynacja Ameryką Południową umocniła się. Peru to słoneczny kraj pełen uśmiechniętych i przyjaznych przybyszom ludzi. No i jest tam jeszcze tam Cordillera Huayhuash.

Uczestnicy

Arkadiusz Grządziel KW Jastrzębie

Jerzy Stefański KW Katowice

Bogusław Kowalski (KW Toruń)

W imieniu kolegów mam przyjemność podziękować naszym sponsorom:

Polskiemu Związkowi Alpinizmu (ja od siebie dołączam „wielkie dzięki” za grant dołączony do JEDYNKI – nagrody, którą otrzymałem za wspin w 2004 roku.), Klubowi Wysokogórskiemu w Toruniu, oraz firmom: Lhotse – niezawodnej firmie za niezawodny sprzęt, Trango, Bergson, Małachowski, Extreme Group, Kopalni Węgla Kamiennego Chwałowice, a także doktorom Lidii Pawłowicz i Andrzejowi Kabzińskiemu, Markowi Wierzbowskiemu. Specjalne podziękowania dla rodziców Jurka od syna.

Nowa droga na Denali

Rafał Sławiński

W maju i czerwcu 2005 roku wraz z Walerym Babanowem wspinaliśmy się na Alasce. 23 maja wylądowaliśmy na „Kahiltna International Airport” z ambitnymi planami nowych dróg na Mount Hunter i Denali (HA!). Pogoda była niepewna, w związku z czym stwierdziliśmy, że najlepszym sposobem spędzenia czasu będzie aklimatyzacja na Zachodnim Żebrze (West Buttress). Dwa dni później siedzieliśmy uwięzieni w obozie na wysokości 4300 m, w czymś, co było rodzajem psiej budki wśród tamtejszych pałacowych rezydencji. Po dniu odpoczynku ruszyliśmy w górę do obozu na 5200 m, z którego po nédznej, dusznej nocy, ruszyliśmy na szczyt. Niestety szybko nad-

ciągający „whiteout” zmusił nas do wycofania się tuż przed „Boiskiem Piłkarskim”. Zawróciliśmy do obozu 4300 m, gdzie rozważaliśmy powrót do bazy, ponieważ pogoda była wciąż zbyt niepewna, by zrobić coś interesującego, ponadto czuliśmy się zranieni w swojej dumie, że „wypłuła” nas normalna droga...

Ale jednak w dwa dni później, startując z obozu 4300, spróbowaliśmy ponownie. Tym razem bardzo silny wiatr zmusił nas do pelzania na czworakach po grani i uniemożliwił nawet osiągnięcie obozu 5200. Sytuacja stała się tak beznadziejna, że ponownie musieliśmy się wycofać... By skrócić tę przydługą historię, w końcu – 2 noce później – osiągnęliśmy wierzchołek, przy temperaturze -40° , startując z obozu 4300, tam i z powrotem w 9,5 godz.

Teraz, by zacytować powiedzonko Scotta Backesa, „mogliśmy ruszyć tyłki i zacząć się wspinąć”. Po parodniowym odpoczynku na lądowisku (świeże jarzyny, jajka i piwo były przyjemnym urozmaiceniem po liofilizatach), spakowaliśmy lekkie plecaki i poleciliśmy na North-East Fork (północno-wschodnie odgałęzienie lodowca Kahiltna), do bazy pod południowo-zachodnim żebrzem. Wybrana przez nas linia drogi leży na ścianie opadającej na lewo, tj. na zachód od żebra. Początek drogi stanowi pewnego rodzaju pułapkę terenową. Mieliśmy nadzieję zacząć się wspinąć



Walerij Babanow i Rafał Sławiński. Fot. R. Sławiński



U podnóża południowo-zachodniej ściany Denali.

Fot. R. Sławiński

krótco po północy, ale już wieczorem gęsta mgła pokryła wszystko. Dzięki temu dobrze wyspaliśmy się w nocy! W końcu przekroczyliśmy szczelinę brzezną o bardzo nie alpejskiej porze – o 11 przed południem – i przepłynęliśmy wśród gęstych pyłówek po interesującym cienkim lodzie. Uciekając jak najszybciej z plujących śnieżnym śmieciem kuluarów, osiągnęliśmy żeberko, które, mieliśmy nadzieję, zapewni nam bezpieczne przejście ściany. Wspinaczka nie była ekstremalna,



Południowo-zachodnia ściana Denali z nową drogą zespołu Babanow-Sławiński.

Fot. R. Sławiński.

ale cały czas interesująca: głęboki śnieg, lód męczący lydki, niskie ale ostre stopnie skalne – to się ciągnęło i wydawało się nie mieć końca. Chmury nadciągały i odpływały, ale przez większą część dnia pogoda wytrzymała. Tak to trwało, dopóki nie dotarliśmy o pierwszej w nocy do górnej części West Buttress, gdzie z pełną mocą dmuchnął na nas sztormowy wiatr, który utrzymał się przez kilka godzin.

Początkowo mieliśmy nadzieję odpocząć przez kilka godzin przed kontynuowaniem wspinaczki w górę Żebra, ale w tych okolicznościach postanowiliśmy uważać drogę za zakończoną i trawersować do obozu 4300. Nawet taki powrót nie był pozbawiony emocji, ponieważ szliśmy cały czas bombardowani kawałkami lodu pędzonymi przez wiatr, w śnieżycy i wśród alaskańskiego półmroku. Ostatecznie o 4 rano weszliśmy do obozu. Odszukaliśmy namiot należący do jednego z rosyjskich przyjaciół Walerego i mieliśmy mało skrupułów, żeby się wprosić do środka na czas, który pozostał jeszcze z nocy: pięciu ludzi zgniecionych w trzyosobowym namiocie.

Następnego dnia zesliśmy do bazy w jeszcze gorszej pogodzie, uzmysławiając sobie przy tym, jakie to jest uciążliwe bez nart! Kiedy wreszcie po paru dniach pogoda się poprawiła, pożycziliśmy jakieś narty i poszliśmy z powrotem do North-East Fork, by odzyskać nasze.

W śniegu i chmurach

Wiosenne zmagania z Annapurna

Piotr Morawski

Jak to wszystko się zaczęło

Zanim wyjechałem zimą na Shiszę, czyli pod koniec 2004 roku, już wiedziałem gdzie spędzę dwa wiosenne miesiące. Piotr Pustelnik jechał ponownie na Annapurnę. Rok wcześniej nie stanął na jej szczycie, a to jego przedostatnia góra w Koronie Himalajów. Nie byłem z nim na żadnej wyprawie i cieszyłem się, że go w końcu poznam. Dodatkowo w składzie mieli być Vlado Štrba i Peter Hamor, uczestnicy zeszłorocznej próby. Zapowiadało się obiecująco.

Kiedy wróciłem z Shiszy od razu przytłoczył mnie nawał spraw. Egzaminy, obrona doktoratu, zaległe sprawy na uczelni i nie tylko. Nawet się nie obejrzałem, kiedy nadszedł koniec marca – data wylotu do Kathmandu. Jeszcze tylko konferencja w Centrum Olimpijskim. Wystąpiliśmy w zmienionym składzie. Peter nie mógł jechać, zamiast niego Piotr zdecydował się zabrać Marcina.

Prawie biegłem zieloną doliną ku masywowi Annapurny. Za mną zostały zmartwienia i problemy. Przede mną czekało kilka tygodni naprawdę ciężkiej pracy.

Trudne początki

Miejsce na bazę zaskoczyło Piotra. Staliśmy w śniegu po pas w miejscu zeszłorocznej trawiastej łąki. Jak się potem okazało, pory roku zwariowały i opóźniły się o kilka tygodni. Zatem wiosna pod Annapurną dopiero nadchodziła.

Pierwsze dni jak zwykle wypełniała ciężka i niewdzięczna praca. Rozstawianie namiotów, porządkowanie sprzętu, rekonesans, założenie bazy wysuniętej i jej zaopatrywanie. Pracowaliśmy trzema zespołami. Nepalczycy tworzyli jeden z nich i pomagali głównie w transporcie. Piotr i Vlado podzielili się, by w składzie każdego zespołu był ktoś, kto walczył z górą w zeszłym roku i ją zna. Vlado wychodził zatem z Marcinem, a ja z Piotrem. Dzięki takiemu podziałowi zaoszczędziliśmy mnóstwo czasu i uniknęliśmy kluczenia w trudnej orientacyjnie ścianie.

Południowa ściana Annapurny jest potężnym, prawie trzykilometrowym urwiskiem, zasypywanym ciągłymi lawinami. Z jej lewej strony można wyróżnić filar, którym weszli na szczyt Don Whillans i Dougal Haston w 1970 roku. Filar jest

mocno nieewidentny, ale podczas wspinaczki nim, człowiek docenia geniusz taktyczny Bonningtona (kierownika tamtej wyprawy). Lawiny huczą dookoła, ale żadna nie schodzi drogą. Jedna z najbezpieczniejszych na szczyt. Ale też niełatwa, bo trudności skalne osiągają V, A0 na wysokości 7300 m n.p.m. Z bazy na szczyt jest prawie 4000 metrów...

Problemy jak zwykle przychodzą zniecka. Kiedy przyzwyczailiśmy się do codziennych opadów śniegu i mozolnego torowania, Nawang i Rita przestają się wspinać. Najpierw sugerują, że jemy mięso w Sanktuarium i dlatego pada śnieg. Są przekonani, że w związku z naszą „nieodpowiedzialnością” wyprawa poniesie klęskę. Szybko jednak na jaw wychodzi prawdziwa przyczyna zatargu. Nawang, trzykrotny zdobywca Everestu, niechętnie uznaje Piotra za kierownika i usiłuje robić wszystko po swojemu. Kiedy mu się to nie udaje ogłasza otwarty strajk. Na szczęście Piotr jest świetnym dyplomata. Po krótkiej próbie sił wyprawa ponownie rusza do przodu według planu kierownika. Główny ciężar torowania i poręczowania spada głównie na barki naszego zespołu – „starego doktora Piotra” i „młodego doktora Piotra” (jak nas nazywają Szerpowie)...

Akcja

Mimo trudności mozolnie wykopujemy i zdobywamy metr za metrem do góry. W połowie kwietnia, po dwóch tygodniach akcji, stawiamy namiotu obozu pierwszego (6100). Droga do niego wiedzie przez bazę wysuniętą (którą postawiliśmy na wysokości 4950) oraz przez zdradliwy lodowiec. Ostatnie 400 metrów w pionie to wspinaczka śnieżną granią i stromym kuluarem. W zeszłym roku tu była sama skała, jak zapewnia nas kierownik. Teraz brniemy w śniegu po pas i głębszym.

Powyżej jedyńki jest mordercze plateau. Po codziennym opadzie śniegu schodzą lawiny i całkowicie je zasypują. Rankiem trzeba torować około 300 metrów do stromego terenu. Niekiedy zajmuje to nam 1,5 godziny, czasem ponad 3. Vlado zaczyna chorować, ale dzielnie wychodzi jeszcze do góry. Nawang stara się unikać torowania, ale na szczęście Rita nadrabia za nich dwóch. Pracująca szóstka redukuje się do czwórki.



Wyjście z obozu I.

Fot. P. Morawski

Z Piotrem wspina nam się świetnie. Szybko uczymy się, że lawiny są tylko pyłówkami i można się w nich wspinać. Nie ma dnia bez chmur i pyłówek, ale też każde wyjście wykorzystujemy maksymalnie. Góra opornie, ale oddaje metr po metrze. Po plateau nad jedyką droga idzie stromym, lodowo-śnieżnym kuluarem. Wyjście z niego zamyka potężny wał seraków. Nad nimi gdzieś powinny stać namioty obozu drugiego. Tylko jak przez niego przejść? Piotr w zeszłym roku obchodził dalekim trawersem na lewo. I nie zna-

leżli dogodnego miejsca do obozu. Trzeba spróbować innym wariantem. Ktoregoś pięknego dnia udaje nam się znaleźć drogę. Pod nami chmury, nad nami słońce, a my z Piotrem wyjemy z radości w radio: mamy obóz drugi! 100 metrów kluczenia pomiędzy stromymi lodowymi olbrzymami i wyprowadza nas na płaskie plateau. Nad nami czysta skała – główne trudności drogi. Pod nami ponad kilometr trud-

negu terenu i półtora kilometra lin poręczowych.

Wzloty i upadki

Przebiecie się przez wał seraków tchnęło w nas nowego ducha. Nie wszyscy podzielali nasz entuzjazm, ale nie przejmowaliśmy się tym. Mamy piękną dwójkę, a pierwsze liny wiszą już powyżej. Crux jest trudny, ale nie wydaje się niepokonany. Mamy trochę się oszczędzać z ładunkami, ale jak zwykle nic z tego nie wychodzi. Ruszamy do kolejnego wyjścia obładowani jak muły. Ale teraz

chcemy pójść na szczyt. Po drodze, ponad trudnym terenem planujemy założenie przelotowego obozu trzeciego, na wysokości ok. 7600 m.

W dwójkę spędzamy spokojną noc. Chociaż mroźną. Śnieg w bazie już dawno zniknął. Wiosna na całego. Mimo tego trzeba stać w dobrej kurtce puch-



Dojście do dwójki, z tyłu nieodłączny Machhapuchhare.

Fot. P. Morawski

wej na zewnątrz namiotu. Tylko my już trochę wymęczeni ciągłym wspinaniem, torowaniem, ciągłą walką. W jednym namiocie kierownik ze mną, w drugim Marcin i Rita. Vlado ostatecznie wycofał się do bazy. Zamiast niego do góry poszedł młody Rita. Patrzył do góry pełen nadziei na szczyt. Jak każdy z nas.

Wyruszamy z samego rana. Najpierw po poręczówkach, które doprowadziliśmy kilkaset metrów nad dwójką. Plecaki wyładowane sprzętem biwakowym, kolejnymi metrami lin, jedzeniem, dodatkowymi ubraniami na atak szczytowy... Dochodzę do stanowiska, ściagam plecak i klaruję pierwszą setkę nowej liny. Zaraz do mnie dochodzi Rita i zaczyna asekurować. Wbijam dziaby i mozolnie, przytłoczony ciężarem idę do góry. Najpierw torowanie w stromym terenie. Niepewnie, bo każdy fałszywy krok grozi długim lotem na poręczówce. Bo zdecydowałem się na niej prowadzić, lina dynamiczna to kolejne kilogramy...

Zakładam stanowisko. Zimno potwornie. Wyciągam puchówkę i szybko ją nakładam. Ale dobrze, że w tym roku mam dobry sprzęt, bo inaczej by było ze mną krucho. Nade mną skały stają dęba i widzę już przewieszki, z którymi przyjdzie się zmierzyć. Chłopaki objuczeni idą strasznie wolno. Ale cóż, taka to już wspinaczka zimowa. Trochę wspinania i mnóstwo czekania.

Tym razem zaczyna mnie asekurować Piotr. Wbijam się z zapalem w skałę. Już po pierwszych metrach jestem rozgrzany. Po kilku kolejnych widzę, że łatwo nie będzie. Wbijam jakiś przelot i robię kilka kroków wyżej. Stoje odchylony do tyłu, plecak ciąży w dół, a ja patrzę z lękiem na ledwie zahaczone dziaby. Oby wytrzymały kilka krótkich, nerwowych ruchów i jestem ponad przewieszką. Pot leje mi się po plecach. Kolejne stanowisko i kolejne długie oczekiwanie na kogoś, kto przyjdzie asekurować. Myślałem, że już po trudnościach, a tutaj dopiero początek.

Crux okazał się ponad stumetrowej wysokości. Po drodze 3 przewieszki, w tym jedna naprawdę trudna. Nie wzięliśmy ze sobą ław, więc męczyliśmy się potwornie. Kiedy wyszedłem ponad trudności, słońce zbliżało się do horyzontu. Po trzech godzinach tkwienia na stanowisku doszedł do mnie Piotr. Ledwie przeciągnął swój plecak przez przewieszki. Był zameczony. Reszta jeszcze walczyła. Już w ciemnościach.

Co tutaj dużo mówić. Jeszcze do 1 w nocy torowałem jak wściekły, by dojść do łatwego terenu. Nie dałem rady i padła decyzja o odwrocie. Jeszcze tylko spojrzenie na altimetr – 7400. Zostawiamy depozyt i na dół.

Decydujące starcie

Obudziłem się w dwójce potwornie zmęczony. Nadszedł dzień odpoczynku, po którym planowaliśmy kolejne wyjście do góry. Co nam mogło przeszkodzić? Trudności drogi pokonane, cały sprzęt wyniesiony ponad nie. Pewnie do miejsca na obóz trzeci zostało 50-100 metrów mozolnego torowania. Powinniśmy dojść. Potem już tylko sześćset metrów na szczyt... Hm, sporo, jak na takie warunki śniegowe.

W południe odzyskujemy z Piotrem humor. Gotujemy, pijemy, jemy. Siły wracają. Przyszłość się rozwidnia. Zасыpiamy mówiąc z nadzieją w głosie: „damy radę!”.

Budzik dzwoni rozpaczliwie. Jest już 4 rano, czas wstawać. Jeszcze ciemno i zimno. Mam świetny śpiwór Roberta i nie chcę go opuszczać, jest w nim tak przyjemnie. Ten, kto mówi, że sprzęt w górach jest mało ważny myli się. Komfort daje siłę do dalszej pracy. Zaczynamy powoli się rozbudzać. Gotujemy i namiot wypełnia się miłym ciepłem. Co pewien czas pohukujemy na Marcina i Ritę, by wstawali i szykowali się do drogi, ale odpowiada nam cisza. W końcu nadchodzi chwila wyjścia z namiotu. Niebo bezchmurne, pogoda śliczna. Nadzieja aż trzeszczy w mroźnym powietrzu. Niestety zaraz potem dowiadujemy się, że Marcin schodzi jednak na dół. Rita także stwierdza, że jest zmęczony i schodzi. Jeszcze namawiamy Nepalczyka, by został w dwójce i na nas poczekał na wszelki wypadek. Przepakowujemy się i ruszamy do góry. Śnieg nad dwójką jest jeszcze twardy. Odzyskuję wiarę, macham na Piotra i z radością zaczynam „malpować”. Piotr rusza zaraz za mną.

Kiedy doszedłem do trudności czułem się świetnie. Pogoda nam dopisywała. W dole było widać świeże ślady Marcina połyskujące w słońcu na białym śniegu. Piotr jeszcze skryty za śnieżną grania. Godzinę wcześniej twierdził, że wszystko gra i idzie do góry. Wbiłem się w cruxa. Stałem na stanowisku ponad przewieszką i rozpocząłem kolejną łączność...

Niespodziewane wieści spadają zniecka. Myślałem, że ich limit się wyczerpał. Piotr też tak myślał. Niestety zabrakło mu sił na to, żeby iść do góry. Walczył do samego końca. Dwa miesiące poręczowania i torowania w tak małym składzie zrobiły swoje. Organizm odmówił posłuszeństwa i „baterie się wyczerpały”. Jeszcze w dramatycznej rozmowie usiłowałem przekonać Piotra, że sam też dam radę. Kierownik nie pozwolił. I dobrze, bo dzień później nadeszła potężna burza śniegowa. Ale wtedy jeszcze o tym nie wiedziałem. Dyndałem



Ponad jedyneką i chmurami.

Fot. P. Morawski

na stanowisku zapatrzony w Macchapucchre i myślałem, że jeszcze tutaj muszę wrócić...

Epilog

Jedna z najpiękniejszych dolin świata, wspinała wspinaczka w doborowym towarzystwie, niezapomniane chwile, marzenia te zrealizowane i te, które czekają. Czegóż to można więcej chcieć od życia? Nie weszliśmy na szczyt. Nie szkodzi, góry stały i będą stać. Siedzimy w bazie. Sączymy ciepłą herbatę i już planujemy kolejną wyprawę.

Chciałbym podziękować Piotrowi, kierownikowi i partnerowi od liny, dzięki któremu mogłem przeżyć te wspaniałe chwile oraz całej naszej ekipie, która tak dzielnie walczyła do końca. Bez wspólnej pracy nie zaszlibyśmy tak wysoko...

www.piotrmorawski.com

www.marmot.com

www.roberts.pl



Właśnie tak!

Kalendarium według autora

Uczestnicy:

Piotr Pustelnik (kierownik, PL); Vladimír Štrba (SK); Piotr Morawski (PL); Marcin Miotk (PL); Aleksander Waśniowski (lekarz, PL); Apa Rita Sherpa (NP); Nawang Tenzing Sherpa (NP), Jagat Limbu (kucharz, NP)

25.03 – dotarcie do Katmandu;

27-30.03 – trekking do Annapurna B.C. (4130 m);

01.04 – dotarcie do bazy głównej (4200 m)

04.04 – pudża, rozpoczęcie wyprawy, dotarcie do bazy wysuniętej A.B.C. (4950 m =);

05.04 – znalezienie drogi przez lodowiec do podstawy ściany, pierwsze poręczówki (do 5650);

07.04 – dojście do 5900 m;

14.04 – nieudane poszukiwania we mgle miejsca na obóz pierwszy, dotarcie do przełęczy na 6100 bez rozstawienia namiotów;

15.04 – rozstawienie namiotu obozu pierwszego na przełęczy na 6100 m;

23.04 – po kilku dniach pracy przekraczamy 6500, śniegu po pas i głębiej;

03.05 – zaporęczowanie drogi do miejsca obozu drugiego (6850 m), znalezienie seraka, pod którym potem staną namioty;

5.05 – założenie obozu drugiego na 6900 m i pierwszy w nim nocleg;

6.05 – mimo zmęczenia długim wyjściem poręczujemy powyżej dwójki do 7100 m,;

15.05 – pierwsza próba założenia trójki, wycufujemy się po kilkunastu godzinach wspinania z

wysokości 7250 m; z trójki mieliśmy próbować wejść na szczyt;

17.05 – jak dla mnie najbardziej naładowany emocjami, najważniejszy dzień wyprawy; wychodzimy z Piotrem do ataku szczytowego; założenie trójki opcjonalne; po kilku godzinach atak załamuje się; decyzja o opuszczeniu ściany i zakończeniu wyprawy;

20.05 – zwinięcie bazy i początek schodzenia na dół.

Fot. P. Morawski

Everest znaczy marzenie

Old Spice Mount Everest Expedition 2005

Marcin Miotk

Marcin Miotk – lat 33, alpinista, fotograf, maratończyk. Od kilku lat sukcesywnie realizuje swoje marzenia związane z górami wysokimi. Do tej wiosny, mimo młodego wieku, miał na swoim koncie już kilka wysokich szczytów, m.in. Mount Kenya, Chan Tengri, Pik Pobiedy, a także ośmiotysięczniki Shisha Pangma Middle i Cho Oyu. 5 czerwca 2005 roku Marcin jako pierwszy Polak wszedł na Mount Everest (8848 m.) bez dodatkowego tlenu. Poniżej jego relacja z tego wejścia.



Wysoko, wyżej, Everest

Każdy z alpinistów zaczynał chyba podobnie. W wieku młodzieńczym najpierw były książki lub opowieści starszych kolegów o górach. Tam dowiadywaliśmy się o pięknych, trudnych szczytach; o bohaterach zdobywających dziewicze ośmiotysięczniki. To pobudzało wyobraźnię i skłaniało do działania. Każdy jak najszybciej chciałby pojechać w Himalaje, aby również zdobywać strzeliste, ośnieżone szczyty. Ja również przeszedłem tę drogę. Był jednak szczyt, który robił największe wrażenie, o nim się najwięcej pisało, z nim było związanych wiele tragedii i emocji – Mount Everest – najwyższy szczyt Ziemi. To on rozbudzał marzenia, to on był chyba zaczątkiem mojej wysokogórskiej pasji. Uskok Hilarego, Second Step, Żebro Genewczyków, Kuluar Hornbeina – te formacje znałem od dziecka na pamięć. „Może i mnie dane będzie kiedyś znaleźć się w tych miejscach, gdy będę wchodził na szczyt?” – myślałem i marzyłem. Marzenia trzeba spełniać...

Preludium: Annapurna

Był marzec 2005 roku. Przygotowania do wyprawy na Everest wkraczały w decydującą fazę, gdy nagle pojawiła się szansa wyprawy na Annapurne. Czasu na decyzje było niewiele. Ostatecznie podjąłem decyzję o celowaniu w dublet. „Jak starczy czasu, zdrowia to jestem w stanie zaatakować te dwa ośmiotysięczniki w jednym sezonie” – myślałem sobie.

Na szczyt Annapurny prowadziły dwie główne drogi: od strony północnej (łatwiejsza, ale bardziej niebezpieczna ze względu na duże zagrożenie lawinowe) i od strony południowej (od strony Sanktuarium Annapurny – droga znacznie trudniejsza, ale poprzez swoją stromiznę bardziej bezpieczna – lawiny schodzą tam małe, głównie pyłowe). Nie ma więc na Annapurnę łatwej i bez-

piecznej drogi. Wszystko to powoduje, że do tej pory na Annapurnie stanęło tylko 139 wspinaczy, w tym 8 z Polski. Nasza wyprawa objęła sobie za cel południową ścianę pokonaną po raz pierwszy przez wielką wyprawę Chrisa Bonningtona w 1970 roku. Od tamtej pory nikt nie odważył się zaatakować tej dostojnej, wysokiej na 4 kilometry ściany w tak śmiałym stylu, na jaki my się odważyliśmy. Tylko czterech wspinaczy – dwójka doświadczonych lisów (Piotr Pustelnik zwany Kierownikiem i Słowak Vlado Štrba) oraz dwójka młodych wilków (Marcin Miotk i Piotr Morawski). Towarzyszyli nam dwaj tragarze wysokogórscy, Szerpowie Nawang i Rita – jednak ich działalność ograniczała się tylko do transportu lin oraz wyżywienia. Nie kreowali oni akcji górskiej.

Annapurna to rejon wyjątkowo specyficznej pogody. Przez ponad 50 dni pobytu w dolinie Annapurny było zaledwie kilka dni bez żadnych opadów. Dzienny scenariusz pogodowy wyglądał tak: rano witała nas „lampa”. Potem był jeden pewnik i jedna niewiadoma. Wiedzieliśmy, że zacznie padać ok. 10-12 rano. Tylko pytanie, o której przestanie padać było bez odpowiedzi.

Trudne warunki pogodowe, problemy zdrowotne Vlado oraz, obiektywnie rzecz biorąc, wąski skład, powodowały, że akcja górską posuwała się powoli (baza 4200m – 1 kwietnia, baza wysunięta 4950m – 6 kwietnia, obóz pierwszy – 6100m – 15 kwietnia, obóz drugi – 6950 m – 5 maja). Mimo różnych przeciwności, morale ekipy było bardzo wysokie.

Nadchodzi 15 maja – dzień ataku szczytowego – najważniejszy dzień wyprawy. Pierwsza dwójka niestety wychodzi półtorej godziny po ustalonym wcześniej terminie. Ja wychodzę z Szerpą Ritą (zastąpił chorego Vlado) z namiotem, jedzeniem, linami godzinę po kolegach, którzy wyszli wcześniej poręczyć. Szybko jednak ich doganiamy; teren jest trudny, poręczowanie idzie więc wolno.



Południowa ściana Annapurny.

Fot. M. Miotk

Na każdej poręczy robią się zatory. Więcej czekamy niż idziemy do góry. Trzęsę się tak z zimna, że nie wiem już co mam ze sobą zrobić. Mija dwunasta godzina od wyjścia z dwójki – jest noc, wysokość ok. 7400 m., dokucza potworne zimno, platformy nigdzie nie widać. Kierownik podejmuje rozsądną decyzję o odwrocie. Docieram przed pierwszą w nocy do namiotu, nie mam nawet sił nic ugotować, w śpiworze cały się trzęsę. Zdaję sobie sprawę, że atak szczytowy się nie udał i na drugi nie mam już sił. Musiałbym zejść do bazy na odpoczynek, ale na to nie ma już czasu. Piotrowie – Pustelnik i Morawski – planują po dniu przerwy jeszcze raz zaatakować szczyt – nie podzielałam ich entuzjazmu, co do skuteczności takiego wyjścia – organizm na takiej wysokości nie regeneruje się tak szybko. Przez radiotelefon informuję lekarza o swoim słabym samopoczuciu. Szerpa Rita również chce schodzić do bazy. 17 maja rano zaczynam zjeżdżać w dół. Piotrowie tego samego dnia ponawiają próbę ataku szczytowego, jednak już po kilku godzinach rezygnują i wracają do obozu drugiego, a potem jeszcze tego samego dnia zjeżdżają do obozu pierwszego. Wyprawa dobiegła końca – o niepowodzeniu jednak nie może być mowy. Wyprawa do ostatnich chwil parla do góry, nie było sprzeczek, kłótni, była wspólna walka i determinacja w walce o szczyt. W tak małym zespole było to szczególnie ważne, że wszyscy sobie pomagali, wszyscy cieszyli się

każdym pokonanym metrem ściany, a że nie wyszło? To nie wstyd. To wielka, wymagająca himalajska ściana.

Walka z czasem

Mimo, że wyprawa na Annapurnę trwała dłużej niż zakładaliśmy, do samego końca walczyłem o szczyt z kolegami. Teraz przyszedł czas na Everest. Czasu zostało naprawdę mało. Miałem jednak wszystko dobrze

zaplanowane. W ciągu 5 dni zdołałem przemieścić się z bazy pod Annapurną do bazy pod Everestem od strony tybetańskiej. Pobyt w dolinach również pozwolił mi dobrze odpocząć i zregenerować siły. Tryskałem optymizmem i wierzyłem, że zdołam wejść na Everest. Jedną rzeczą mnie tylko nurtowała, – jaki styl wejścia wybrać? Miał to być mój styl – styl, który dawałby mi satysfakcję ze zrobienia czegoś wyjątkowego. Po przemyśleniu zdecydowałem, że będę próbował wchodzić bez tlenu oraz bez pomocy Szerpów, drogą normalną od strony tybetańskiej.

Falstart

Od tygodnia czekaliśmy w bazie wysuniętej (Advanced Base Camp – ABC), na wysokości 6400 m, na poprawę pogody. Baza pustoszała z dnia na dzień – niektórzy po prostu mieli już dość zimna, przenikliwego wiatru, jedzenia z puszek i beznadziejnej prognozy pogody. Pakowali rzeczy i uciekali w doliny. 25 maja pojawiła się nadzieja, że pierwszy dzień czerwca może być pogodny i bezwietrzny. W bazie zapanował ruch. Oby tylko prognoza się utrzymała powtarzali wszyscy, bo przecież dobrych prognoz było już kilka, jednak żadna z nich nie potwierdziła się. 29 maja wyruszyłem do obozu pierwszego położonego na Przełęczy Północnej na wysokości 7000 m. Noc minęła spokojnie i następnego

dnia razem z dwoma zaprzyjaźnionymi wcześniej Austriakami ruszyliśmy w kierunku obozu II położonego na wysokości 7900 m. Bardzo porywisty wiatr powodował, że poruszaliśmy się bardzo powoli. Jednak z godziny na godzinę wydzieraliśmy kolejne metry drogi w kierunku obozu III (8350 m). Wiatr się wzmagał. Zastanawiałem się, co robić dalej? Nie było widać oznak poprawy pogody. Zdecydowałem się, aby schodzić samotnie do obozu II – to nie była pogoda na wejście bez tlenu – ryzyko odmrożeń było zbyt duże. Austriacy jednak poszli do góry.

Druga próba

Odpocząłem w bazie wysuniętej dwa dni i rankiem 3 czerwca, tym razem już zupełnie samotnie, ruszyłem do góry – bezpośrednio do obozu II. Dochodzę do obozu, otwieram namiot, a tam... jakby huragan przeszedł przez namiot – nie ma śpiwora, spodni, kurtki z windstopera, gogli, czapki, rękawic i co najgorsze – latarki. Nie mam wątpliwości – mój namiot został okradziony. To już drugą kradzież w moim namiocie – wcześniej straciłem nową kurtkę z goretexu w obozie I. Jednak tym razem straty są bardziej bolesne, bo zdarzyły się podczas ataku szczytowego. Co dalej? Co robić? Sąsiednie namioty wyglądają na puste. Zaglądam do nich. Są śpiwory. Pożyczam śpiwór na noc. Rano oczywiście oddaję. Zaczynam szybko gotować, póki jest jasno. Brak latarki jest znacznym utrudnieniem. Rano w dobrych warunkach wyruszam do obozu III. Wiatr jest znacznie mniejszy niż kilka dni temu. Idzie mi się bardzo dobrze. Do trójki docieram ok. godz. 17. Znajduję namiot porzucony przez moich austriackich kolegów. Jest tam śpiwór, karimata. Najbardziej dokuczliwy jest brak latarki, moje skradzione ubranie też by się przydało, bo mam na sobie tylko lekkie kombinezon puchowy. Wszyscy wychodzą tradycyjnie na szczyt ok. 12 w nocy. Ja ze względu na brak oświetlenia postanawiam wyjść ok. 5 rano. Dodatkowo będzie już słońce, co przy moim skromnym ubraniu powinno pomóc.

Everest marzeń

Idę sam, wokół mnie nie ma nikogo. Krok po kroku. Powoli zaczynam przechodzić na system dziesiętny: 1,2,3....10. I odpoczynek. Tempo marszu wyznacza długość odpoczynku. Wiatr jest zmienny. Dochodzę do „Second Stepu” – nie ma tu nikogo – pokonuję go z dużym wysiłkiem – nowa drabina jest jednak znacznym ułatwieniem.

Powyżej spotykam pierwszych ludzi schodzących tego dnia ze szczytu – niektórzy odradzają mi dalszą wspinaczkę, wiatr jest zbyt silny. Ja jednak powoli wspinam się coraz wyżej. Na szczęście, gdy podchodzę w okolice szczytu, wiatr jest coraz słabszy. Pogoda dopisuje. Jeszcze ostatnie, nieubezpieczone pole śnieżne i widzę kolorowe chorągiewki – to musi być szczyt!! Jeszcze dziesięć, jeszcze dziesięć i staję na wysokości swojego marzenia – 8850 m!! Jestem sam, delektuję się pięknym widokiem ze szczytu. Makalu, Cho Oyu, Lhotse – widok na te ośmiotysięczniki jest cudowny. Zabieram spod szczytu pamiątkowy kamień i zaczynam powoli schodzić.

Każdy może zdobyć Everest w innym stylu. Mój styl polegał na tym, aby wejść jak najbardziej sportowo – bez tlenu, bez pomocy Szerpów i samotnie (w stopniu, w jakim to na Evereście możliwe). W mediach najbardziej oczywiście przebił się fakt, że było to pierwsze polskie wejście bez tlenu. Bez tlenu oczywiście było bardzo ciężko – bardziej chyba psychicznie niż fizycznie. Największą trudnością okazał się jednak fakt, że wchodziłem sam. Sam z bazy na szczyt i z powrotem. Sam w namiocie, sam w drodze. Był to koniec sezonu (zostałem ostatnim „summittersem” w sezonie wiosennym), więc na Evereście było mało ludzi i udało mi się większość drogi na szczyt odbyć samotnie. Wymagało to niesłychanie silnej woli, szczególnie podczas noclegów w namiocie – nie było kogoś, kto pomoże ugotować herbatę, kogoś, kto zmobilizuje, z kim można podzielić się gotowaniem posiłku.

Osoba	Szczyt	Rok	Użycie tlenu
Baranek Janusz	Lhotse	1979	spanie i wspinaczka
Berbeka Maciej	Everest	1993	w i powyżej obozu 3
Bilczewski Adam	Lhotse	1979	spanie i wspinaczka
Cholewa Stanisław	Lhotse	1979	spanie i wspinaczka
Chrobak Eugeniusz	Everest	1989	powyżej obozu 4
Cichy Leszek	Everest – zima	1980	wspinaczka
Czerwińska Anna	Everest	2000	powyżej obozu 3
Czerwińska Anna	Everest	2001	powyżej obozu 4
Czok Andrzej	Everest	1980	wspinaczka
Czok Andrzej	Makalu	1982	spanie w obozie 4
Heinrich Zygmunt	Lhotse	1979	spanie i wspinaczka
Kudelski Tadeusz	Everest	1999	powyżej obozu 3
Kukuczka Jerzy	Everest	1980	wspinaczka
Marciniak Andrzej	Everest	1989	powyżej obozu 4
Pawłowski Ryszard	Everest	1994	spanie i wspinaczka
Pawłowski Ryszard	Everest	1995	wspinaczka
Pawłowski Ryszard	Everest	1999	wspinaczka
Pustelnik Piotr	Everest	1995	wspinaczka
Pustelnik Piotr	Lhotse	2000	powyżej obozu 4
Pustelnik Piotr	Kangchenjunga	2001	powyżej obozu 2
Pustelnik Piotr	Makalu	2002	wspinaczka
Pustelnik Piotr	Manaslu	2003	spanie
Rutkiewicz Wanda	Everest	1978	wspinaczka
Skorek Janusz	Lhotse	1979	spanie i wspinaczka
Wielicki Krzysztof	Everest – zima	1980	wspinaczka
Zaluski Dariusz	Lhotse	2001	wspinaczka



Everest – droga od północy.

Fot. M. Miotk. Topo: J. Kurczab

Wszystko sam. Wejście się udało i jestem bardzo szczęśliwy, że moje marzenie stało się faktem. Mam swój Everest.

Himalaje Nepalu – z tlenem czy bez?

Jeden aspekt mojego wejścia na Everest wymaga wyjaśnienia – a mianowicie fakt, że było to pierwsze polskie wejście na Everest bez użycia tlenu. Po wyprawie pojawiły się odmienne głosy. Tymi publikowanymi na forach dyskusyjnych w Internecie bym się nie przejmował, bo tam wielu jest „znawców tematu”. Jednak zaniepokoiły mnie komentarze kilku ludzi z środowiska górskiego, którzy jawnie pisali, że to nie ja wszedłem pierwszy z Polaków na Everest bez dodatkowego tlenu. Nie chodzi o moje dobre samopoczucie, chodzi raczej o dziennikarską rzetelność, o to, aby ludzie znali fakty, a nie opinie. Cechą łączącą wspomnianych ludzi jest fakt, że sami często wchodzili z tlenem oraz z pomocą Szerpów. A że nas Polaków nic bardziej nie boli jak sukces sąsiada...

Co rozumiemy, więc przez pojęcie „wejście bez dodatkowego tlenu”? Zadałem to pytanie największemu światowemu autorytetowi w tej dziedzinie – Pani Elizabeth Hawley – dziennikarce, która od dziesięcioleci zbiera informacje o wszystkich wyprawach w Himalaje Nepalu. Według niej „wejście bez tlenu – to wejście, gdy nie używało się tlenu

Głównym sponsorem wyprawy na Everest była marka kosmetyków **OLD SPICE**. W sprzęt górski Marcina wyposażyły firmy **BERGSON**, **ROBERT'S** oraz **POLAR** (zegarki wysokogórskie).

zarówno bazie, jak i podczas całej akcji górskiej, również do spania”. Innymi słowy pokonanie ostatniego odcinka przed szczytem bez tlenu, nie może oznaczać, że wejście jest bez tlenu. W polskiej historii mieliśmy już takie przypadki. Krzysztofowi Wielickiemu oraz Leszkowi Cichemu zabrakło tlenu podczas ataku szczytowego i musieli pokonywać (zimą!) ostatnie metry bez tlenu. Podobny przypadek spotkał Wandę Rutkiewicz. Osobna kwestią jest wartościowanie wejść z tlenem lub bez – mogą to być wejścia zimowe (Cichy, Wielicki), mogą to być wejścia nowymi drogami (Kukuczka, Czok), czy wejścia jako przewodnik (Pawłowski), wejścia bez wspar-

cia Szerpów, wejścia samotne. Ale wartościować można tylko na podstawie faktów. Wspomniana pani Hawley prowadzi ogólnodostępną (do kupienia na: www.amazon.com) bazę danych o wejściach pt. „Himalayan Database”. Oto więc fakty (tabela na s. 25) na temat polskich wejść z tlenem w Himalajach Nepalu; fakty, którymi posługuje się cały alpinistyczny świat; fakty które może warto niektórym przypomnieć. Baza danych obejmuje 8 ośmiotysięczników: Everest, Makalu, Lhotse, Annapurna, Dhaulagiri, Cho Oyu, Manaslu, Kangchenjunga.



Wygląd wierzchołka Everestu w dniu sukcesu Marcina.

Fot. M. Miotk



Polacy w górach wysokich 2005

O pięknym zimowym sukcesie na Shisha Pangma pisaliśmy w dwóch poprzednich numerach „Taternika”. Działalność wyprawy Piotra Pustelnika na południowej ścianie Annapurny w bieżącym numerze omawia Piotr Morawski a również Marcin Miotk, który pisze także o swoim beztlenowym sukcesie na Evereście. Wypada jeszcze pokrótce omówić inne polskie ekspedycje działające w najwyższych partiach naszego globu.

Wyprawa Pawłowskiego na Cho Oyu

Sukcesem zakończyła się komercyjna wyprawa Ryszarda Pawłowskiego na Cho Oyu (8201 m). Szczyt atakowano drogą normalną od strony Tybetu i już 1 maja na szczycie stanęli dwaj uczestnicy wyprawy Wojciech Jankowski i Artur Kaźmierczak. Sam Rysiek Pawłowski wszedł na wierzchołek 3 maja.

„Warunki na Cho Oyu były w tym roku niezwykle surowe” – mówił Pawłowski – „duże opady śniegu, ciągle zasypana baza, niezwykle niskie temperatury w obozach wyższych. Po raz kolejny potwierdziło się, że tu najlepiej wybierać się jesienią. Cieszę się, że dwóch uczestników weszło na szczyt, były to jednak też te dwie osoby, które wyjątkowo solidnie do tej wyprawy przygotowały się kondycyjnie”.

Polsko-bułgarska wyprawa na K2

Anna Czerwińska, pierwsza Polka, która zdobyła Koronę Ziemi, poprowadziła wyprawę na drugi szczyt globu K2 (8611 m). Wraz z nią wspinali się Leszek Cichy i Dariusz Załuski. W składzie wyprawy znalazła się również Joanna Kowalczevska, a w Pakistanie dołączyła trójka alpinistów bułgarskich: Dojczin Bojanow, który rok temu wszedł bez tlenu na Everest oraz Iwan Temełkow i Bojan Petrow. Akcja zakładania obozów na Żebrze Abruzzi rozwijała się sprawnie. 22 czerwca stanął obóz I (6100 m), 27 czerwca – obóz II (6700 m). Złe prognozy sprawiły, że musiano znacznie przyspieszyć akcję poręczeń, wspinając się również nocą. Gdy załamanie wreszcie nadeszło, ekipa musiała wycofać się do bazy. Obóz III został założony dopiero 11 lipca, w bardzo ciężkich warunkach, na wys. 7350 m, ponad serakiem kończącym najtrudniejszą partię Żebra – tzw. Czarną Piramidę. „Musielismy w skale wykuć platformę o wysokości półtora metra. Nie jest to może optymalne miejsce, ale trudno nam było dalej działać w gęstej mgłę” – informował Leszek Cichy. Nadeszło kolejne załamanie pogody, podczas którego lawina zniszczyła obóz I. O wielkim szczęściu może mówić jeden z amerykańskich alpinistów, który nocował w tym obozie. O godzinie 6.30 opuścił namiot, który 45 minut potem został zmieciony.

18 lipca Czerwińska, Cichy i Załuski oraz trójka

Bułgarów wyruszyli z bazy na akcję szczytową. Tego dnia doszli bezpośrednio do obozu II, z pominięciem zniszczonej „jedynki”, a 19 lipca – do obozu III. Ze względu na silny wiatr i intensywny opad śniegu alpinistom nie udało się założyć czwartego obozu w tradycyjnym miejscu na wysokości około 8000 m. Ugrzęźli w śniegu. Z trudem rozbili namioty w połowie drogi na wysokości 7700 m. 22 lipca Czerwińska, Cichy i Załuski zrezygnowali ataku szczytowego, po nocy spędzonej w obozie IV (7850 m). Byli tak wyczerpani, że zasypiali na stojąco. Trójka Bułgarów zaczęła schodzić do bazy dzień wcześniej. Prognozy pogody nie były optymistyczne i kilka ekspedycji zaczęło związać swoje bazy. Jeden z Bułgarów oraz Leszek Cichy wycofali się z wyprawy. Pozostali postanowili czekać na pogodę.

Czerwińska i Załuski rozpoczęli drugą próbę ataku szczytowego w dniu 11 sierpnia, licząc na krótkie „okno pogodowe” zapowiadane na 14-15 sierpnia. Namiot obozu IV okazał się zasypany i zniszczony. Taka sytuacja była do przewidzenia, toteż nasza dwójka niosła z sobą rezerwowy namiot. Rozbili go na wysokości 7900 m i spędzili w nim noc. Ranek 15 sierpnia był jednak tak wietrzny, że musieli zrezygnować. Zejście do bazy nie było łatwe, gdyż przez K2 przewalała się nawałnica. Nie tylko Polacy nie odnieśli sukcesu. Bez szczytu wrócili w tym sezonie Japończycy, Norwegowie, Czesi, Amerykanie, Irlandczycy, Węgrzy, Bułgarzy a nawet twardzi Kazachowie (wśród nich znajomy Polaków z zimowego K2 – Wasilij Piwcow), którzy właśnie 15 sierpnia dotarli do wysokości ok. 8500 m.

Piotr Pustelnik na Rocky Summit

Wyprawa Lotto MultiBank Góra Pragnień 2005 wyruszyła do Pakistanu 30 czerwca br. 12 lipca, na wysokości 5400 m powstał obóz I a dwa dni później na wysokości 6200 m – obóz II. Przez kolejne dni alpinisci, wykorzystując poprawę kapryśnej pogody, postawili obóz III na wysokości 7200, a następnie zaatakowali szczyt.

21 lipca około 17.30 czasu lokalnego, Piotr Pustelnik stanął na przedwierzchołku Broad Peaka – Rocky Summit (8028 m). Około 80 m za nim znajdował się Artur Hajzer. I jemu nie udało się dotrzeć

do głównego wierzchołka, a na dodatek podczas odwrotu doszło do groźnego wypadku.

Z uwagi na bardzo trudne warunki i późną porę, himalaści podjęli decyzję o wycofaniu się do obozu III. Do wierzchołka głównego pozostało pokonanie długiej grani ok. 2 godzin wędrówki w jedną stronę. Podczas zejścia z przełęczy między głównym szczytem a Broad Peak Central (7900 m), Artur Hajzer pośliznął się i spadł ok. 50 m. Podejrzewano złamanie nogi w kostce, później w szpitalu okazało się, że jest to tylko silne skręcenie.

Podczas międzynarodowej akcji opuszczania rannego w dół wydarzył się drugi upadek, tym razem 500-metrowy. Spadł Słowak Martin Gablik – i on cudem bez większego szwanku. Ucierpieli natomiast dwaj prowadzący ewakuację Artura ratownicy włoscy: jeden leciał później z nim helikopterem do szpitala i miał „nogę czarną od odmrożeń”. W tej sytuacji Piotr Pustelnik, kierownik wyprawy, wspólnie z jej uczestnikami podjął decyzję o zakończeniu ekspedycji.

Dla Piotra Pustelnika była to trzecia próba wejścia na Broad Peak. Konsekwentnie od wielu lat, realizuje on ambitny projekt „3x3”, tj. zdobycia Korony Himalajów, Korony Ziemi i Koronki Ziemi (drugie co do wysokości szczyty kontynentów).

Do najważniejszej korony – Himalajów brakuje mu jeszcze Annapurny i głównego wierzchołka Broad Peak. Po zdobyciu wszystkich brakujących 8 szczytów Piotr Pustelnik stanie się jedynym himalaistą na świecie, który na swoim koncie będzie miał wszystkie 3 Korony.

Polskie wejścia na Mustagh Ata

W dniach od 25 lipca do 25 sierpnia 2005 roku odbyła się wyprawa wysokogórska na Mustagh Ata (7546 m) w Pamirze Wschodnim (źródła chińskie zaliczają ten masyw do Kunlun) w chińskiej prowincji Xinjiang.

7-osobowy zespół alpinistów (w tym dwie kobiety) dotarł drogą lotniczą a Warszawy przez Moskwę do stolicy Kirgizji – Biszkeku.

Stąd drogą lądową przez Naryn i przejście graniczne na Torugarth (3750 m) dojechalśmy do Kaszgaru i dalej do Subashi gdzie z pomocą jucznych wielbłądów udaliśmy się do bazy usytuowanej na wysokości 4450 m.

Działalność górska przebiegała w dniach od 30 lipca do 16 sierpnia na drodze normalnej od zachodu.

W tym czasie dokonaliśmy wejść na wierzchołek Mustagh Ata w następujących terminach:

- 13 sierpnia – Bogusław Chamielec (Klub Górski



Mustagh Ata

Archiwum J. Kurczaba

„Problem” z Lubina, woj. dolnośląskie);
- 14 sierpnia – Małgorzata i Marcin Nowakowie z Wrocławia, Witold Pietrzak (Klub „Watra” Gliwice) oraz Paweł Mitura z Grójca;

Pozostali uczestnicy uzyskali wysokości: Ewa Starzyk – 7150 m i Piotr Bartochowski – 7200 m.

Są to w kolejności od piątego do dziewiątego w historii polskich wejść na ten szczyt. Pierwszego wejścia dokonał Ryszard Pawłowski, kolejnych – Krzysztof Berbeka, Wiesław Madejczyk i Marcin Pius.

Działalność górska jak i same wejścia szczytowe prowadzone były z wykorzystaniem rakiet śnieżnych (cztery wejścia) oraz sprzętu skialpinistycznego (jedno wejście szczytowe).

Okres przypadający na działalność górską charakteryzował się dobrą, choć zmienną pogodą z dwoma załamaniami połączonymi z dużymi opadami śniegu.

Na drodze normalnej, od zachodu, działało w sezonie letnim kilkadziesiąt wypraw z całego świata i tylko dwie z Polski. W sumie dokonano 6 polskich wejść przy działalności 11 alpinistów (w tym I polskie kobiece – Małgorzata Nowak).

Jeden z alpinistów doznał niegroźnych odmrożeń palców rąk. Szczyt ten, jak i cały masyw Pamiru Wschodniego i Kunlun, ma do zaoferowania jeszcze sporo możliwości w dziedzinie zarówno alpinizmu wysokościowego, jak wejść eksploracyjnych i ścianowych.

Przewiduję, iż w najbliższych latach nastąpi tu zwiększony napływ polskich wypraw. Trend porównywalny do ponownego odkrycia rejonu Pamiro-Alaju czy Tien-Szan.

Bogusław Chamielec

Nowa droga w Karakorum

W połowie września zespół w składzie: Tomasz Polok i Jan Kuczera poprowadził nową drogę *Moonlight Pillar* na Changi Peak (in. Barasa, ok.

5000 m) w Dolinie Nangmah w Karakorum.

Droga o długości około 800-900 metrów (200 m z lotną asekuracją i 14 wyciągów po ok. 50 m) biegnie zachodnim filarem Changi Peak, głównie płytami i rysami. Droga została poprowadzona w stylu alpejskim, OS w 11 godz., zupełnie na lekko (jedynie goreteksy). Początkowo filar jest bardzo połogi i miejscami kładzie się (trudności do IV, tutaj z lotną). Im wyżej to trudności rosną a filar staje się pionowy. Trudności drogi sięgają stopnia VII (UIAA) – 2 wyciągi IV+, reszta to V i VI oraz jeden wyciąg VII. Mimo to wyciąg, jaki wydał mi się najtrudniejszy (najtrudniejszy psychicznie jaki kiedykolwiek robiłem w górach), to pewnie VI-. Trudności techniczne na nim, choć względnie niskie, to pokonywane przy prawie



Na piku

Fot. J. Kuczera

całkowitym braku asekuracji w niepewnej skale (mocno zwietrzały granit), w niesamowitej ekspozycji – wspinanie tarczowe, połogie, bez chwytów (nogi i ręce wyłącznie na tarcie). Na pozostałych wyciągach asekuracja na pewno lepsza ale mało komfortowa. Generalnie wspinanie bardzo „delikatne”. Na drodze został pozostawiony wyłącznie jeden spit i to tylko na stanowisku, gdy już nic innego nie można było założyć. Ze ściany zjechałszy zjazdami ok. 300 m do żlebu między Changi Tower a Changi Peak a następnie spory kawał w dół żlebem. Do namiotu dotarliśmy mocno zmęczeni, mimo wcześniejszej dobrej aklimatyzacji.

Wcześniej w tej samej dolinie zespół próbował poprowadzić nową drogę na północnej ścianie Runkanchanga w stylu obłączym. Niestety, to co z daleka wydawało się piękne w rzeczywistości okazało się paskudne. Rysy zasypane ziemią i porośnięte trawami nie dawały możliwości wspinania klasycznego. Konieczność ciągłego haczenia i czyszczenia rys zniechęcała do takiego wspinania. Czarę goryczy przelał fakt, gdy okazało się, że wybraną linią biegnie już istniejąca droga. Tak więc zapadła decyzja o wycofaniu się ze ściany i zmianie celu.
Jan Kuczera

Po północnej stronie Everestu

Jerzy i Paweł Michalscy – ojciec i syn – byli tej jesieni jedyną wyprawą na północnej flance Everestu. Alpinści często narzekają na obecność innych ludzi na ich drodze, ale ta obecność rozwiązuje wiele problemów, jak choćby wspólne poręczowanie, przecieranie szlaku, zabezpieczenie lekarskie, wzmożone poczucie bezpieczeństwa. Tego oparcia nasza dwójka nie miała.

15 września została założona baza wysunięta na wys. 6400 m. Po kilku dniach niepogody, 20 września rozpoczęto poręczowanie drogi na Przełęcz Północną. Po założeniu 700 m lin, łózdanie znajdowali się w połowie drogi na przełęcz. Niestety nie udało się wykorzystać starych poręczówek – wszystkie były pod śniegiem. Nasza dwójka zeszła na wypoczynek do bazy głównej, a zadanie dalszego poręczowania przypadło Sierpom. Powrót do góry planowany był na 25 września. Tymczasem już 23-go zaobserwowano oznaki załamania pogody.

25 września na stoku Przełęczy Północnej, w trakcie kończenia przez Sierpów prac nad poręczowaniem, została podcięta lawina, będąca wynikiem intensywnych opadów śniegu. Jeden z Sierpów wyszedł z tej przygody niemal bez szwanku, drugi z połamanymi żebrami. Zagrożenie lawinowe było nadal bardzo poważne, gdyż opadła tylko dolna część śnieżnej pokrywy. Pozostała część utrzymywała się powyżej drogi podejścia na Przełęcz Północną, grożąc w każdej chwili osunięciem. W tej sytuacji postanowiono wyprawę zakończyć. „W związku ze stratą Sierpów i bardzo złymi warunkami pogodowymi musimy zakończyć ekspedycję i nasz cel odłożyć na wiosnę przyszłego roku” – powiedział Paweł Michalski.

Gdyby łózdzy alpinści zrealizowali swój plan, byłoby pierwszą na świecie parą (ojciec-syn), która zdobyłaby zarówno najwyższą górę świata (8848 m), jak i Koronę Ziemi – siedem najwyższych szczytów na wszystkich kontynentach. Ponadto 74-letni Jerzy Michalski byłby najstarszym zdobywcą Everestu oraz Korony Ziemi.

Kandydaci do Złotego Czekana?

Dwa osiągnięcia przyćmiły wszystko, co działo się ostatnio w Karakorum i Himalajach. Były to nowe drogi na ścianach ośmiotysięczników Broad Peak (8051 m) i Nanga Parbat (8126 m). Obie poprowadzone dwuosobowymi zespołami, w świetnym stylu, bez zakładania stałych obozów. W stylu, który przez ostatnich parę lat nie doczekał się uznania ze strony jury przyznających prestiżowe wyróżnienia Złotego Czekana, co spotkało się z licznymi protestami i w ostatnim roku zaowocowało przyznaniem nagrody publiczności Steve'owi House'owi – jednemu z bohaterów opisanych niżej przejść.*

Południowo-zachodnia ściana Broad Peak

Chronologicznie należy zacząć od zdobycia 3000-metrowej południowo-zachodniej ściany Broad Peak przez kazachską dwójkę Denis Urubko i Siergiej Samojłow. Działali oni w ramach włoskiej wyprawy pod kierunkiem Roberto Piantoni. Po wstępnej aklimatyzacji na drodze normalnej, Kazachowie



Południowo-zachodnia ściana Broad Peak z nową drogą zespołu Samojłow-Urubko. Arch. i topo: J. Kurczab

zaczęli wspinaczkę 19 lipca z kotła Broad South Glacier, u podstawy ściany (5100 m). Szli stylem alpejskim, biwakując w niesionym przez siebie jedynym namiociku. Trudności techniczne były duże, do tego wiatr, zamieci, w górnej części grożące lawinami masy śniegu. Biwakowali kolejno na wysokościach 6100, 6500, 6700, 6950, 7500 i 7800 m. Dwa z sześciu biwaków, ze względu na szczupłość miejsca, musieli spędzić na siedząco. Największe trudności sprawił pas skał pokonany trzeciego dnia wspinaczki oraz teren mikstowy między 7500 i 7800 m. Na szczycie stanęli 25 lipca o godz. 11.30. Do bazy wrócili z biwakiem na drodze normalnej. Warto dodać, że dla Samojłowa był to w ogóle pierwszy ośmiotysięcznik.

Południowa ściana Nanga Parbat (flanka Rupal)

Historia pokonywania środka flanki Rupal jest dłuższa. 12 sierpnia 2004 r. Steve House i Bruce Miller zaatakowali tę jedną z największych ścian świata (ponad 4000 m wysokości), próbując nowej linii w jej środku, między drogami Messnera z 1970 roku a meksykańsko-polską (Carsolio, Heinrich, Kukuczka, Łobodziński, 1985 r.). W alpejskim stylu, po 5 dniach wspinaczki, dotarli oni na wysokość prawie 7500 m, pokonując ok. 3500 m ściany. Niestety, House, który wymiotował na ostatnim biwaku, zaczął na dodatek odczuwać dolegliwości oddechowe, wskutek infekcji lub braku dostatecznej aklimatyzacji, i posuwał się bardzo wolno. Miller skłonił partnera do rezygnacji z dalszej wspinaczki, po czym 17 sierpnia obaj Amerykanie przetrawersowali do Rynny Merkla i wycofali się drogą Messnera.

1 sierpnia 2005 r. w ścianę wszedł sławny słoweński specjalista od samotnych przejść Tomaž Humar, z zamiarem wytyczenie nowej drogi mniej więcej w linii amerykańskiej próby sprzed roku. Po trzech dniach wspinania w trudnych warunkach i pogarszającej się pogodzie osiągnął wysokość 6400 m i znalazł się w pułapce. 5 sierpnia rozpoczęto organizowanie bezprecedensowej akcji ratunkowej. Humar zdołał tego dnia zejść na żeberko na wysokości 5900 m, na którym w jamie spędził kolejne 5 dni. Przez ścianę przetaczały się kolejne lawiny, a pogoda uniemożliwiała lot ratunkowy. Dopiero 10 sierpnia warunki pozwoliły na lot. Z helikoptera pakistańskiej armii typu Lama opuszczono linę i podczepiony do niej Humar został przetransportowany do bazy.



Południowa ściana Nanga Parbat z drogą Anderson-House. Linia przerywana znaczy linię próby S. House'a i B. Millera z 2004 r. Strzałki wskazują przybliżony kierunek wejścia dróg Messnera (z lewej) i polsko-meksykańskiej (z prawej). Krzyżyk oznacza miejsce, skąd helikopter zabrał Tomaša Humara.

Fot. P. Konopka. Topo: J. Kurczab

Wkrótce pod ścianą zjawił się ponownie Steve House, mając tym razem za partnera Vince Andersona. Steve zdawał sobie sprawę z popełnionych przed rokiem błędów – braku odpoczynku po intensywnej działalności w rejonie K7 i niedostatecznej aklimatyzacji. Amerykanie zaaklimatyzowali się w drugiej połowie sierpnia na drodze Schella, po czym cierpliwie czekali na dobre prognozy i poprawę warunków w ścianie.

1 września o godz. 4 nastąpił ostateczny szturm. Mimo zredukowania bagażu do minimum, plecak każdego z alpinistów ważył 16 kg. Największym pro-

blemem było uniknięcie przelatujących ścianą lawin, ale w miarę posuwania się w górę ich częstotliwość się zmniejszała. Trudności też były niebagatelne, szczególnie dawało się we znaki znaczne zalodzenie skały. Trzeciego dnia wspinaczki postanowili opuścić linię ubiegłorocznej próby. Wyjaśnia Steve House: „Linia z 2004 roku ze względu na dużą ilość śniegu wydała się niebezpieczna, a filar wprost nad nami – trudniejszy i piękniejszy. Zwyciężyło wyzwanie, jakim jest nowa droga z wieloma znakami zapytania”. To był wyczerpujący dzień – Anderson i House wspinali się bez przerwy przez 18 godzin...

4 września udało im się znaleźć lodową rampę, rozwiązującą jedną z kluczowych przeszkód – barierę skalną na wysokości ok. 7000 m. W następnym dniu dotarli blisko miejsca, skąd House i Miller zawrócili przed rokiem.

6 września o godz. 3.30 rozpoczęli atak szczytowy. Po dwóch mikstowych wyciągach weszli na głębokie, strome i niezwiązane śniegi. Po ich przejściu, śnieżno-lodowym terenem osiągnęli żebro i przy wciąż wspanialej pogodzie, wolno poruszali się stosunkowo łatwym mikstowym terenem. O godz. 16 weszli na przedwierzchołek (8000 m) i po krótkim odpoczynku ruszyli dalej, by o 17.45 osiągnąć szczyt Nanga Parbat. Po kilkunastu minutach spędzonych na wierzchołku ruszyli w dół tą samą drogą. Ten dzień był jeszcze cięższy – do pozostawionego namiotu udało im się dotrzeć dopiero po 24 godzinach od wyruszenia (!). Następnego dnia kilkoma zjazdami osiągnęli Lodowczyk Merkla i drogę Messnera, a do bazy wrócili 8 września, witani przez rozentuzjazmowany tłum mieszkańców doliny.

Nanga Parbat (8126m), nowa droga centralnym filarem ściany Rupal: Vince Anderson i Steve House 1-8 września 2005 r. (4100 m, M5 X 5.9 WI4).

* Jeśli kogoś zdziwią koty przypisane wymienionym szczytom, wyjaśniam, że w związku z ukazaniem się II tomu Wielkiej Encyklopedii Gór i Alpinizmu „Góry Azji”, „Taternik” będzie stosował zgodne z nim nazwy i wysokości szczytów. Mamy nadzieję, że w jakimś stopniu przyczynimy się do ograniczenia bałaganu, jaki zapanował w tej dziedzinie. Wydaje się, że wyniknął on po części z bezkrytycznej wiary w dokładność pomiarów za pomocą GPS oraz najrozmaitszych pseudonaukowych teorii na temat pochodzenia nazwy szczytu, czy transkrypcji nazw tybetańskich, nepalskich czy pakistańskich.

Wyprawa do Jaskini Krubera-Woronia

Pierwsze polskie -2000m

Piotr Pilecki

Arabika jest krasowym masywem górskim znajdującym się w zachodniej części Kaukazu, gdzie od 1980 roku odkrywano kolejne głębokie jaskinie. To właśnie tutaj znajduje się najgłębsza jaskinia świata Krubera-Woronia o głębokości -2080 metrów. Jedyna jaskinia na świecie w której udało się człowiekowi przekroczyć głębokość 2000 metrów. Ten niewątpliwie wielki przełom w eksploracji głębokich jaskiń jest zasługą ukraińskich grotolazów, którzy 19 października 2004 roku osiągnęli najgłębszy jak do tej pory punkt jaskini. I mimo iż korytarz „Gra skończona”, jak sama nazwa wskazuje nie poprowadzi już eksploratorów na większą głębokość, poznawanie systemu nie zostało bynajmniej zakończone.

Gdy pod koniec października 2004 dowiedziałem się o przekroczeniu granicy -2000 m w Jaskini Krubera – Woronia, wiedziałem, że musimy tam pojechać. Szybka orientacja w możliwościach wjazdu do Abchazji... i plany zorganizowania samodzielnej wyprawy upadły tak szybko, jak się pojawiły. Abchazja, to obecnie kraj, który jest, a jednocześnie go nie ma. Oficjalnie jest częścią Gruzji. Jednak od września 1993 r. (zakończenie rocznej wojny gruzińsko-abchaskiej), Abchazja jest de facto niepodległa: ma parlament i prezydenta, konstytucję, rząd, siły zbrojne, sądy, znaczki pocztowe. 12 października 1999 r. abchaski parlament przyjął akt o niepodległości. Republika nie została jednak uznana przez społeczność międzynarodową. „Granica” z Gruzją pozostaje zamknięta, zasady przekraczania granicy z Rosją stale się zmieniają. Obecnie jest to możliwe tylko dla obywateli Wspólnoty Niepodległych Państw, więc pozostało nam wkręcić się na wyprawę organizowaną przez Rosjan. Pierwsza możliwość pojawiła się bardzo szybko. 12 grudnia 2004

dowiedziałem się o wyprawie, która rozpoczyna się 5 stycznia 2005. Wykorzystując znajomości kolegów z klubu w Żaganiu zostaliśmy na nią zaproszeni w trzyosobowym składzie (Marcin Furtak, Daniel Oleksy i ja). W dniu, w którym mieliśmy kupić bilety obaj zrezygnowali. W ciągu pół godziny miałem już nowy skład (Jarek Woćko i Marcin Gala), ale pojawiły się w związku z tym inne przeszkody formalne i marzenia o wyprawie musiałem odłożyć. Gdy dowiedziałem się, że 7 stycznia 2005 rozbił się helikopter z uczestnikami wyprawy – przestałem żałować, że nas tam nie było. Na szczęście wszyscy uczestnicy katastrofy przeżyli, ale wyprawa została przełożona na czerwiec – lipiec 2005.

Teraz mieliśmy więcej czasu, aby wszystko spokojnie przygotować. Zgłosiliśmy skład: Tomasz Kuźnicki, Daniel Oleksy i ja. Rosjanie wysłali nam potrzebne do wiz zaproszenia, kupili bilety z Moskwy do Soczi i załatwili legalny wjazd do Abchazji. Pod koniec maja Tomek złamał nogę w wypadku samochodowym, w połowie czerwca po raz kolejny zrezygnował Daniel. Wprawdzie zastępcy byli już gotowi, ale od Rosjan dostaliśmy tylko zgodę na zmiany w składzie. To, czy wjadą



Lukasz Wójtowicz i Piotr Pilecki przed otworem J. Krubera-Woronia.

Fot. A. Nowak

do Abchazji, miało się wyjaśnić na miejscu... Postanowiliśmy zaryzykować. Ostateczny skład to: Artur Nowak i Piotr Pilecki (oba Speleoklub „Gawra” Gorzów) oraz Łukasz Wójtowicz ze Speleoklubu „Bobry” Żagań. Wizy rosyjskie dotarły do mnie kilka godzin przed wyjazdem z Polski, po zapłaceniu za nie sześciokrotności normalnej ceny. Na lotnisku w Berlinie byliśmy trzy razy wzywani do wypakowania plecaków. W końcu kontrolerzy tak się zamieszali, że nie chcieli nas wypuścić z hali odlotów. Sprawy wyjaśniły się kilka minut przed startem samolotu i pozwolono nam jednak odlecieć do Moskwy.

Dzień spędzony w rosyjskiej stolicy pozwolił nam poznać część ekipy, z którą mieliśmy działać w jaskini i zwiedzić kilka moskiewskich standardów turystycznych. 1 czerwca, wraz z 7 rosyjskimi grotolazami wyruszyliśmy w 40-godzinną, kolejową podróż do Soczi. 3 czerwca rano byliśmy na miejscu. Na dworcu czekał na nas kierownik wyprawy Denis Prowaliow. Sympatyczny gość, tylko informacje miał niezbyt dobre.

Zgoda na legalny wjazd obcokrajowców do Abchazji została cofnięta. Chociaż można powiedzieć, że dla nas ta wiadomość nie była taka zła



Łukasz Wójtowicz i Piotr Pilecki po powrocie z pierwszej akcji transportowej do jaskini.

Fot. A. Nowak

– Artur z Łukaszem i tak takiej zgody na przekroczenie granicy mieć nie mogli. Teraz wszyscy mieliśmy równe szanse. Rosjanie pojechali do Abchazji, a my wraz czterema Grekami i Alanem Warildem z Australii zostaliśmy zakwaterowani w gościnnym domu Instytutu Geograficznego w Soczi. Zgoda na legalne przekroczenie granicy miała pojawić się jutro, ale jutro znów było jutro, itd. Mimo, że nasz opiekun Sława Isajew starał się nam pokazać najciekawsze miejsca w okolicy, to jednak codzienne zwiedzanie Soczi zaczynało się

nam coraz bardziej nudzić. Po kilku dniach stało się jasne, że możemy tak czekać do końca wyprawy. Czyżby wyprawa miała skończyć się na wczasach w Soczi? 7 lipca wieczorem pojawia się szansa na akcję „przez rzeczkę”. Decydujemy się. Grecy i Alan zostają. Szaleńcza jazda ładami z miejscowymi „mafiozami”, i o północy jesteśmy nad graniczną rzeką. Czekamy tylko na sygnał, aby pobiec w ciemnościach do rzeki. Coś jednak nie gra, i nas wycofują. Powtórka może jutro. W nocy z 8 na 9 lipca dostajemy telefon. Alan i trzech Greków, po całodziennych naradach



Łukasz Wójtowicz w studni wlotowej.

Fot. P. Pilecki

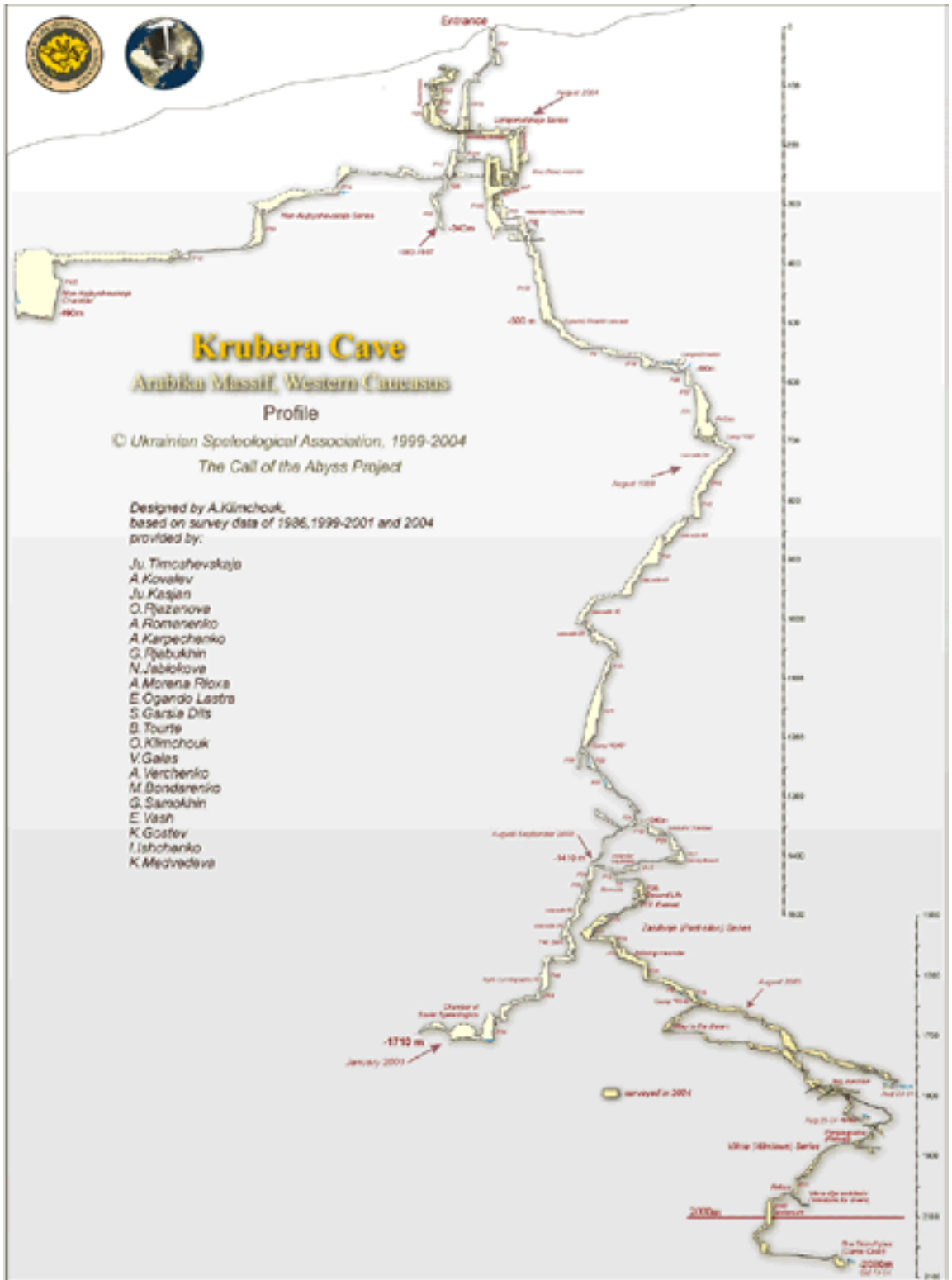
również są zdecydowani na „akcję rzeczka”. Nikos zostaje. Mówi, że lubi ryzyko, ale w jaskini. Wskakujemy w siedmiu do jednej łady i jedziemy na granicę. Tutaj przejmują nas „mafiozi”. Tym razem ormiańscy. Podobno najlepsi. Jedziemy znów w górę rzeki. Przejmuje nas przewodnik. W ciszy, jeden za drugim, trzymając się za ręce, biegniemy w ciemność. Rzeka. Przechodzimy ją brodząc po pas w górskim nurcie. Szerokość może 50 metrów. Potem zaraz następna rzeczka. Mniejsza na szczęście. Wychodzimy przez jakieś betonowe płyty na brzeg. Czekamy w krzakach na transport. Po chwili przyjeżdża UAZ. Dojeżdżamy do bazy nad morzem. Jesteśmy bezpieczni. Jesteśmy w Abchazji! Późnym popołudniem wyjeżdżamy ciężarówką URAL w góry. W bardzo ciężkim terenie wjeżdżamy na przełęcz ok. 2200m i następnie 300m w dół. Dalej się nie da... Jeszcze 50 minut podejścia i baza.

10 lipca możemy wreszcie zająć się działalnością górską. Trochę transportów na powierzchni i pierwsze wejście do jaskini. Zjeżdżamy do partii zwanych Krymem (-240m), zostawiamy wory transportowe i wracamy na bazę. Następnego dnia kolejne wejście do jaskini. Idziemy z transportem na I biwak (-700m) i wychodzimy. Na biwaku spotykamy ekipę grotolazów ukraińskich i rosyjskich, których poznaliśmy kilka dni wcześniej w Soczi. Oni robią transporty pomiędzy -700, a -1200 (II biwak). Poniżej II biwaku jeszcze nikt nie działa. Mamy więc tygodniowe opóźnienie w stosunku do planów przed wyprawowych. Pierwsza, rosyjska grupa grotolazów rozpoczęła poręczowanie i transporty w połowie czerwca. Druga grupa (a w niej my) miała rozpocząć pracę w jaskini 4 lipca. Problemy graniczne trochę to poprzedzały. I teraz nie jest już takie pewne czy będziemy mieli szansę zejść na dno jaskini, nie mówiąc już o możliwości eksploracji w okolicach dna. Wizy mamy tylko do 25 lipca. 12 lipca na bazie pojawia się druga grupa „westmenów”. Sposób przekroczenia granicy, taki jak nasz... Jeden ze Słowenów zrezygnował i dołączył do „naszego” Greka. Obaj wrócili do domu.

Teraz można powiedzieć, że wyprawa jest rzeczywiście międzynarodowa. Oprócz około czterdziestu Rosjan, Ukraińców i Abchazów jest dwunastu grotolazów z Anglii, Australii, Czech, Grecji, Słowenii, Polski i Włoch. Pojawiają się trudności z logistyką akcji jaskiniowej. Dostajemy „przydział” na transport do -1400, wyjście następnego dnia, noc w bazie i kolejny transport na -1400. Nie jest to naszym marzeniem i rozpoczynamy negocjacje. W końcu staje na tym, że weźmiemy na siebie podwójny transport na jedną akcję do

III biwaku (-1400m). W ten sposób do jaskini wchodzimy dopiero 15 lipca, ale z planem dojścia do dna. Idziemy w czwórkę z Tonym (Anglia). Na -900 spotykamy wychodzącego Metodę (Grecja), który podjął decyzję o rezygnacji z przejścia całej jaskini. Na II biwaku czekają na nas dwaj pozostałi Grecy. Przez telefon dowiadujemy się, że III biwak jest zajęty. Są trudności z transportami przez syfon i wciąż nie założono IV biwaku. W tej sytuacji zostajemy z Grekami i tylko Tony schodzi na -1400. 16 lipca w piątkę zjeżdżamy na biwak Sandy Beach (-1400m). Czekają tu na nas Tony oraz dwaj Rosjanie Szum i Witia. Ośmioosobowy zespół działa już za syfonem. Założony jest IV biwak na -1700m, ale my możemy iść dalej dopiero jak uda się założyć biwak na -1900m. Na szczęście nasz III biwak to rzeczywiście „słoneczna plaża: w porównaniu z poprzednimi biwakami. Przede wszystkim jest cicho i sucho. Huk wodospadów, towarzyszący nam prawie w całej jaskini, tutaj milknie. Jest wyraźnie cieplej, +4°C. To tylko 1-2 stopnie więcej niż w wyższych partiach jaskini, ale z drugiej strony to aż 2 razy więcej...

17 lipca. Biwak -1900 wciąż nie jest założony, jemy nieśpiesznie śniadanie i zastanawiamy się, czy w ogóle będzie nam dane iść niżej. Ja właściwie podjąłem już decyzję, że syfonu przechodził nie będę. Jestem zły na siebie, że przed wyprawą oparłem się na informacjach, że syfon ma 2-3m długości i nie przygotowałem się specjalnie pod tym kątem. O rzeczywistych wymiarach syfonu dowiedzieliśmy się dopiero na biwaku -1400m, wcześniej Rosjanie twierdzili, że po pracach wypraw ukraińskich w 2004 r. syfon został zmniejszony może nawet do 1 m długości. Były nawet komentarze Rosjan, że to nieetyczne, ułatwić sobie drogę w ten sposób. Dopiero jak 2 dni temu dotarli do syfonu, okazało się, że w tym przypadku wyprawa ukraińska zachowała się jak najbardziej „etycznie” i syfon, jaki był, taki jest...Mamy jeszcze jeden dzień zapasu, później możemy nie zdążyć z dotarciem do Soczi, szczególnie Grecy i Szum, którzy mają bilety na 23 lipca rano. Pojawiają się niepokojące dźwięki nad nami. Rosjanie wyjaśniają: to „Gra srebrnych strun”. Łączność telefoniczna z bazą zostaje zerwana, ale nie mamy wątpliwości, że pogoda się zmieniła i leje deszcz. Jesteśmy w miarę bezpiecznym (jak na tą jaskinię) miejscu. Chociaż i tutaj na jednej z poprzednich wypraw tryskająca z otworów w dnie sali woda podniosła się na kilka metrów. Po godz. 18 telefon znów działa (został zerwany na powierzchni podczas ulewy). Dowiadujemy się, że został założony biwak na -1900, tak więc możemy iść z transportem na -1700...



Syfon na -1440. Obserwuję jeszcze Artura przed nurkowaniem: z mocno nietęgą miną znika pod wodą... Wracam na biwak -1400, nie spotykając po drodze Kostasa i Iliasa. Są na biwaku, już przygotowani do wyjścia na -1200. Dopiero tutaj dowiaduję się, że zrezygnowali z przejścia syfonu. Cóż, będę miał towarzystwo. Nawet mnie to cieszy, ale współczuję chłopakom za syfonem, że będą musieli targać na następny biwak 3 wory transportowe więcej. Opuszczam cichy biwak na -1400 i wychodzę na spotkanie z hukiem wodospadów (od -1350 do -700 wychodzi się cały czas kaskadami wodnymi, omijając jak tylko można główny opad wody, ale są miejsca, gdzie jest to niemożliwe. Dochodzę z Grekami na biwak -1200, gdzie zostajemy na nocleg.

Z relacji Artura:

„Syfon -1440 to 8-10 m tuba o głębokości do 1,5 m i wymiarach około 0,5x0,5m. Piotrek sobie odpuszcza. Grecy „wymiekkają”, chociaż są nurkami...! Tłumacza, że nie na tym sprzęcie, czyli tak naprawdę to na bezdechu, z awaryjną butlą na jeden oddech. Przynajmniej, syfon wygląda przerażająco... Było bardzo zimno. Przejście przez syfon z transportem worów trwało dobrych parę godzin... Do biwaku dotarliśmy późno w nocy zjeżdżając studnią i pokonując zacisk na bezdechu... Jest coraz cieplej...”

18 lipca, późnym popołudniem, idziemy na biwak na -1900, po drodze się gubimy i tracimy parę godzin. Okazuje się, że mieliśmy wejść w bardzo małą dziuplę zaraz za biwakiem. Dojście do -1900 nie jest lekkie. Bardzo ciasne partie, a zwłaszcza Way to Dream (40 m = 40 min.). W obozie urzędują Klim i młody Muchin. Alan i Szuwałow pracują wyżej przy syfonie. Szum zostaje na biwaku na herbatce. Witia nie dotarł tu w ogóle. My z Tonym idziemy do syfonu. Po niecałej godzinie jesteśmy na mini-biwaczku przy syfonie (-1990m), w którym Klim (Oleg Klimczuk) ma jutro nurkować. Zostawiamy wory. Tony wraca na biwak a my idziemy na dno. Partie Millenium, 3 małe studnie, korytarz błotny nie za wysoki i zjeżdżamy do Game Over! Stoi woda o głębokości do 3 metrów (gdy Ukraińcy to odkryli, to jej nie było...). Głębokość -2080 bez trzech metrów. Jesteśmy na dnie najgłębszej znanej obecnie jaskini świata...

Wracamy... Biwak -1900, czaj. Szum wyszedł na górę godzinie temu, wkrótce go doganiam i... przeganiem. I znowu jesteśmy na biwaku -1700. Troszkę spirytusu...”

Podczas gdy Artur z Lukaszem schodzą na dno jaskini, ja z Kostasem i Iliasem opuszczam biwak na -1200. Grecy mają wyraźny ciąg do góry, chca

dziś zobaczyć słońce. Nie dziwię się im, są już szósty dzień w jaskini. Zresztą też nie mam nic przeciwko słońcu, więc wychodzę zaraz za nimi. Wody wyraźnie więcej, niż podczas naszego zjazdu Kaskadami. Przed dojściem na biwak -700 myślę lekko drogę w meandrze i czołgam się kilkanaście metrów w wodzie. OK. Już wiem jak dalej. Teraz jeszcze powrót po wór transportowy, czyli wodna powtórka razy dwa... Kompletnie mokry dochodzę na biwak -700. Trochę towarzystwa się tutaj zebrało. Denis, dwóch Włochów, Słoweniec, Czech oraz Irina i Anton (oboje z Ukrainy). Grecy napierają do góry, Włosi i Słoweniec na dół, a ja korzystam z zaproszenia i wskakuję do namiotu na obiad (zresztą i tak muszę się trochę podsuszyć). Po dwóch godzinach Denis z ekipą kontynuują drogę na dół. Żegnaj się z nimi, jak wyjdą na powierzchnię to my będziemy już być może w Polsce... Dziękuję Denisowi za zaproszenie na tę wyprawę i umawiamy się na spotkanie (może w Tatrach, może w Słowenii, może w Abchazji, może...). Jeszcze dwie godziny suszenia i po godz. 19 rozpoczynam wyjście. 700 metrów. Dobrze, że są przepinki, meander i kilka przejść bez liny. Zawsze to jakaś rozrywka w monotonii powtarzalnych ruchów podczas wychodzenia po linie...

Po północy wychodzę na powierzchnię, delektując się zapachami traw w studni wlotowej... Z namiotu wychodzę dopiero po południu. Dowiaduję się, że Artur z Lukaszem zeszlizli wczoraj na dno jaskini. Cieszę się. Szkoda, że brak czasu nie pozwoli im na eksplorację, mimo propozycji ze strony Denisa. Tak naprawdę dopiero dzisiaj (po ponad miesiącu przygotowań) rozpoczęła się eksploracja na tej wyprawie. Przenurkowano syfon na -1990m i po zjeździe 40 m studnią, odkryto kolejny syfon. Myję zablokowany sprzęt jaskiniowy, na tej wyprawie nie będzie mi już potrzebny... Późnym popołudniem dociera na bazę wiadomość o wypadku grotolaza, na poziomie ok. -360m, w partiach Non Kujbyszewska. Informacje o jego stanie nie są pewne. Idzie grupa ratunkowa z lekarzem i zadaniem założenia biwaku przy ranym. Mają pociągnąć również kabel telefoniczny do miejsca wypadku. Zgłaszam się do pomocy, ale na razie nie ma takiej potrzeby. Mam być jednak gotowy na ewentualną akcję w każdej chwili. Idę spać i czekam na rozwój zdarzeń. 20 lipca rano wiadomo już, że Andriej Siżnikow spadł na dno 60-metrowej studni z wysokości ok. 10 m. Stało się to podczas poręczowania studni. Powód – brak węzła na końcu liny... Ma złamane nogi i podejrzenie uszkodzenia kręgosłupa. W południe dociera do bazy 15 ratowników z Soczi, nie mogli skorzystać ze swojego helikoptera z przyczyn



Artur Nowak (w środku) przygotowujący się na biwaku -1400m do nurkowania. Z lewej Ilias Kazais (Grecja), z prawej Antony Seddom (Anglia).

Fot. K. Adamopoulos

politycznych, więc wjechali uralem. W tym czasie Artur z Łukaszem mają już za sobą powrót przez syfon i rozpoczynają wyjście z biwaku -1400 na powierzchnię. Ja o godz. 17 wchodzę do jaskini na akcję ubezpieczenia drogi dla ratowników, poprzez dobiecie kilkunastu spitów i powieszenie uszkodzone odcinki lin i zaporczerwac co nieco. Moim partnerem do pomocy jest młody Rosjanin Siergiej. Nie był nigdy w tej części jaskini, ja oczywiście też nie. Dlatego mamy trochę problemów orientacyjnych w meandrach i wychodzimy z jaskini dopiero nad ranem. Niektóre miejsca w meandrach są bardzo ciasne. Doprowadzenie ich do takiego stanu, aby przeszły nosze z rannym grotolazem, będzie wymagało ogromnej pracy. W momencie, gdy zdarzył się wypadek, większość doświadczonych grotolazów była na biwakach od -1200 do -1900. Teraz akcja eksploracyjna zostaje przerwana i wszyscy wychodzą na powierzchnię. Artur z Łukaszem są już w bazie. 22 lipca rano musimy wracać. Wprawdzie wylot z Soczi mamy 25 lipca, ale przez granicę zostaniemy przerzuceni razem z Grekami i Włochami, którzy wylatują 2 dni wcześniej. Rosjanie, którzy mieli wyjechać z nami, zostają do końca akcji ratowniczej. Na specjalną prośbę zostaje również Słoweniec Rok Stopar, który jest lekarzem, oraz Alan Warild (Australia), Zdenek Dvorak (Czechy) i Antony Seddon (Anglia), którzy mają wizy rosyjskie do sierpnia. Cały czas trwa akcja ratunkowa. Kolejne ekipy rozkuwają ciasne miejsca w mean-

drach. Ranny grotolaz jest pod opieką lekarza i przyjaciół. Jest przytomny.

22 lipca w nocy jesteśmy już w Soczi. Niekonwencjonalne przekroczenie granicy znów dostarczyło nam trochę wrażeń. Tym bardziej, że miejsce akcji zostało zmienione i po przejściu rzeki musieliśmy przedzierać się godzinę przez jakieś chaszczce. W krótkich spodenkach... Kolejne dwa dni spędzamy na plaży... 25 lipca rano wylatujemy do Moskwy, po kilku godzinach do Berlina i wieczorem jesteśmy w domu.

26 lipca po południu dostaję SMS, że ranny grotolaz został wydobyty na powierzchnię. 27 lipca

Andriej zostaje przetransportowany rosyjskim śmigłowcem do Soczi. Tym razem bariery polityczne zostały przełamane, chociaż może polecili bez zgody – nie wiem. W szpitalu w Soczi potwierdzają się niestety obawy złamania kręgosłupa. Trzy kręgi. Zostaje sprowadzony jakiś sławny neurochirurg z Petersburga, który przeprowadza skomplikowaną, sześciogodzinną operację. Dzisiaj, po dwóch miesiącach, Andriej już chodzi i wraca do zdrowia. Dla nas wyprawa zakończyła się sukcesem. Artur Nowak i Łukasz Wójtowicz zeszli na dno najgłębszej jaskini świata, jako pierwsi Polacy przekraczając granicę -2000 m. Jak spojrzymy na wyprawę pod kątem przygody, to też mamy co wspominać. Warto było i cieszymy się, że tam byliśmy. Dziękujemy tym, którzy nam pomogli, a szczególnie firmie HANNAH POLSKA i KTJ PZA. W jaskini działaliśmy w kombinezonach goretexowych firmy EXPLORER. Sprawdziły się – dziękujemy! Dla Rosjan wyprawa również zakończyła się sukcesem, tylko trochę innym, niż planowali. Zamiast eksploracji i nowego rekordu głębokości, przyszło im prowadzić trudną akcję ratunkową, która po siedmiu dniach zakończyła się wydobyciem ciężko rannego grotolaza na powierzchnię. Wypadek, był punktem zwrotnym całej wyprawy, później zabrakło już ludzi do podjęcia wyzwań eksploracyjnych 2000 m pod ziemią. Najważniejsze, że Andriej wraca do zdrowia, a jaskinia poczeka...

Cztery śmiertelne ofiary nurkowania w jaskini

Tragiczna w skutkach okazała się dla młodych ludzi eksploracja syfonu jaskini Golluma w Provo w stanie Utah (USA). 17 sierpnia doszło tam do niezwyklej, pierwszej chyba w dziejach nurkowania jaskiniowego tego typu tragedii. Równocześnie utonęły 4 osoby, które, jak można wnioskować z przekazów prasowych, pokonywały syfon na wstrzymanym oddechu.

Jaskinia ta znajduje się w zboczu wzgórza położonego niedaleko szkoły w mieście Provo, leżącym około 80 km na południe od Salt Lake City. Prawdopodobnie należy ona do części wywierzyskowej systemu krasowego. W jej wstępnych partiach, kilkadziesiąt metrów (ok. 30) od otworu, znajduje się niewielkie jezioro. W jego dnie, na głębokości ok. 1,5 m, jest otwór wprowadzający do ciasnego korytarza. Za nim, po ok. 5 metrach, wypływa się w niewielkiej komorze, gdzie do stropu jest od 60 cm do 1 m wolnej przestrzeni. Rozmiary komory nie są zbyt duże, może się w niej zmieścić równocześnie 8 osób.

17 sierpnia po południu do środka wszedł 5-osobowy zespół „miłośników” tej jaskini. Czwórka z nich, dwie kobiety i dwaj mężczyźni w wieku od 19 do 28 lat, zanurkowała w syfonie. Kiedy po dwóch godzinach od wejścia pod wodę amatorzy jaskiniowego nurkowania nie powrócili, piąty uczestnik powiadomił o całym zajściu policję. Na pomoc wezwano specjalny zespół ratunkowy z miasta Orem, specjalizujący się w prowadzeniu akcji w trudnych warunkach. Wpompowali tlen do jaskini i wypompowali z niej wodę.

Następnego dnia okazało się, że cała czwórka nie żyje. Wszystkie ciała znalezione zostały pod wodą w owym ciasnym korytarzu, a skierowane były głowami w stronę otworu jaskini, co, jak powiedział dla AP kierujący akcją ratunkową, oznacza, iż byli w drodze powrotnej na powierzchnię. Potwierdza to również fakt, że w komorze za syfonem znaleziono resztki świeczek (sic!), które najpewniej wykorzystywali tam jako źródło światła.

Policja poinformowała, że bezpośrednie przyczyny śmierci (utonięcie, czy może brak tlenu w owej powietrznej komorze za syfonem) dokładniej ma ustalić autopsja. Ofiary

pokonywały zalany wodą korytarz bez żadnego specjalnego sprzętu. Mężczyźni mieli na sobie tylko krótkie spodenki i sandały, a kobiety krótkie spodenki, bluzki i tenisówki. Dziwi to tym bardziej, iż jedna z ofiar po wcześniejszym pokonaniu tego syfonu opowiadała innym, że jest to „jaskinia śmierci”, ponieważ woda jest w niej tak zimna, że jeden z uczestników tamtej eskapady omal nie umarł z wyziębienia.

Szczególnie zadziwia fakt, że utonęły wszystkie cztery osoby. Na podstawie skąpych informacji prasowych, można jednak przypuszczać, że „jaskiniowi nurkowie” wracali przez syfon równocześnie. I wtedy, gdy pierwszej z nurkujących osób coś się przydarzyło (np. doznała silnego skurczu mięśni w zimnej wodzie), płynący za nią utonęli, nie mogąc się obrócić w korytarzu, ani też nie umiając się z niego wycofać. Możliwe jest też, że ofiary wpływały do syfonu kolejno w pewnych odstępach czasu, nie wiedząc o tym, że jest on już „zakorkowany” przez ciała poprzedników i niemożliwy do przebycia. O tym, że rozmiary korytarza w syfonie nie są zbyt duże, świadczy fakt, że nurkowie z ekipy ratunkowej zaopatrzeni specjalnie w małe butle tlenowe, nie mogli się w nim zmieścić.

Po wypadku okazało się, że jaskinia jest dobrze znana wśród miejscowej młodzieży, która jest nią bardzo zafascynowana. Nazywała ją imieniem Golluma, jednego z bohaterów „Władcy pierścieni” J. Tolkiena. Krążą o niej różne opowieści, a wyprawa do niej i zanurkowanie na wstrzymanym oddechu, czyli w sposób, jak zrobiła to tragicznie zmarła czwórka, jest dla nich wielką atrakcją i wyzwaniem.

Jeden z mieszkańców Provo, który był w jaskini 3 tygodnie wcześniej, opisał mediom, jak wygląda trasa, którą trzeba pokonać pod wodą. Poinformował przy tym, że już dawniej, żeby ułatwić pokonywanie tego syfonu, ktoś rozciągnął tam linę jako poręczówkę. Okazało się też, że jaskinia jako atrakcją dla młodzieży znana jest od kilku lat, ale był to pierwszy wypadek, jaki się w niej zdarzył. Dopiero po tej tragedii urzędnicy miejscy Provo zaczęli zastanawiać się, co zrobić, by nic podobnego nie wydarzyło się w przyszłości.

Wojciech W. Wiśniewski

Braźowy medal Mistrzostw Świata dla Polski

Arkadiusz Kamiński

Z pewnością najważniejszą i najbardziej oczekiwaną przez zawodników imprezą w roku 2005 były Mistrzostwa Świata Seniorów w Monachium. Wystartowało w nich ponad dwieście zawodniczek i zawodników z całego świata, nie zabrakło również reprezentacji Polski. Największym sukcesem naszej kadry było zdobycie brązowego medalu przez Edytę Ropek (Montano, Roca) w jej koronnej konkurencji – wspinaczce na czas. Dobry start zaliczyli również Tomek Oleksy (Bergson, Evolv) – 4 miejsce na czas i Renata Piszczek – 4 miejsce w bulderingu. Również juniorzy mieli w tym sezonie ważną dla siebie imprezę i

do tego na drugim końcu świata – w Pekinie. Na Mistrzostwach Świata Juniorów najlepiej wypadła Kinga Ociepka, która zajęła czwarte miejsce.

Ale po kolei:

Mistrzostwa Polski Seniorów i Puchar Polski Juniorów w Gdyni

Letni sezon startów na panelu rozpoczęły nasze krajowe zmagania. Tym razem Gdynia



Triumfatorka konkurencji na trudność Kinga Ociepka w rozmowie z Edytą Ropek

Fot. A. Kamiński



Mistrzostwa Polski w Gdyni – arena zawodów.

Fot. A. Kamiński

gościła u siebie imprezę rangi Mistrzostw Polski w konkurencjach na trudność i na czas. Skwer Kościuszki jeszcze nie widział tak nietypowej konstrukcji, ustawiona śmiała ścianka wzorowana na tych z zawodów w Lecco czy Arco, tylko w skromniejszym wydaniu, przysporzyła przy ustawianiu nie lada problemów organizatorom. Zawody z jednodniowym poślizgiem, ruszyły pełną parą, obsługując hurtowo dwie imprezy – seniorów i juniorów. Na zawody zjechała cała krajowa czołówka zawodników, których nadmorska aura przywitała mocną bryzą, przerywaną niewielkimi opadami. Nie przeszkodziło to jednak najlepszym zawodnikom z południa w zgarnięciu mistrzowskiej puli: Tomasz Oleksy zdobył złoto w obu konkurencjach na czas i na trudność, Edyta Ropek wygrała na czas i zdobyła brąz na trudność, Kinga Ociepka wygrała w pięknym stylu na trudność, kończąc finałową drogę w strugach deszczu. W cieniu zmagania seniorów startowali nasi najmłodsi zawodnicy.

Pełne wyniki z zawodów można znaleźć na stronach <http://kws.pza.org.pl>

Mistrzostwa Polski Juniorów

W dniach od 25 do 27 czerwca na Tarnowskiej hali wspinaczkowej TOSiR-u rozgrywano zmagania juniorów o tytuł Mistrza i Mistrzynie Polski w trzech kategoriach wiekowych. Zawody z pewnością odbyły się w bardziej sprzyjających warunkach, niż puchar w Gdyni. Kryta ścianka Tarnowskiej hali, jest znakomitym obiektem, do organizowania tego typu zawodów. I tak w poszczególnych grupach wiekowych zwyciężyli:

W konkurencji na czas dziewcząt: bardzo dobrze zapowiadająca się w tej konkurencji Julia Zaniewska (Młodzieżowcy do 19 lat), Marta Lenartowicz (Juniorki do 17 lat), Agnieszka Szczepanie (Juniorki młodsze do 15 lat). W konkurencji na czas chłopców: Siergiej Kriwonos z Ukrainy (M), Jędrzej Komosiński (J), Mateusz Puzon (Jm). Wyniki w konkurencji na trudność prezentują się następująco: wśród dziewcząt mistrzyniami zostały Kinga Ociepka (M), Marta Lenartowicz (J), Agnieszka Szczepanie (Jm), wśród chłopców mistrzami zostali Jakub Jodłowski (M), Marcin Mach (J), Mateusz Baran (Jm).

Mistrzostwa Świata w Monachium

Najważniejsza impreza sezonu panelowego 2005, największy mityng wspinaczkowy, połączony z targami ISPO, na trzech ogromnych, niesamowitych konstrukcjach ścianek wspinaczkowych ustawionych w potężnej hali wystawowej, tysiące publiczności dopingującej zmaganiom ponad dwustu zawodników. I co najistotniejsze, brązowy medal dla Polski na Mistrzostwach Świata!

Na początku lipca, do Monachium zjechała cała światowa czołówka najlepszych zawodników w konkurencjach na trudność, na czas i w bulderingu, nie zabrakło również naszej reprezentacji, w której skład wchodził: Agata Wiśniewska, Edyta Ropek, Kinga Ociepka, Renata Piszczek, Tomasz Oleksy, Łukasz Świr, Andrzej Mecherzyński-Wiktor, Mateusz Haładaj i Marcin Wszółek. Cała impreza była relacjonowana na żywo przez światowe media wspinaczkowe, również nasz krajowy portal internetowy wspinanie.pl przeprowadził znakomitą relację z zawodów.

Walkę o tytuły Mistrzów Świata rozpoczęły zmagania w konkurencji na trudność, które rozegrano na wysokiej, mocno wywieszanej ścianie. Zawody wygrali niepokonani ostatnio Angela Eiter z Austrii i Tomáš Mrazek z Czech, nasi zawodnicy również walczyli dzielnie, dobrze poszło Marcinowi Wszółkowi, który zajął 26 miejsce, zaś

nasze dziewczyny wywalczyły: Kinga Ociepka – 41 miejsce, Agata Wiśniewska – 44 miejsce.

Kolejną, najważniejszą dla nas, konkurencją były zmagania na czas, na których zrelacjonowaniu poświęcimy więcej uwagi. Rok 2005 to kilka znaczących zmian dla Mistrzostw Świata na czas, mianowicie od tych zawodów zaczęły obowiązywać nowe przepisy dotyczące ścianki i dróg wspinaczkowych. Dażąc do bardziej wymiernego odnotowywania wyników, postanowiono, że droga na czas będzie ułożona tylko z jednego, identycznego chwytu wspinaczkowego, który został przykreślony na cztery różne sposoby. I tak ma już być na każdym kolejnych Mistrzostwach. Wielkim zaskoczeniem dla wszystkich zawodników, była jakość owego chwytu, który tylko z jednej strony okazał się być dobry. Kolejny szok, startujący przeżyli w trakcie oglądania dróg, które okazały się być kluczącą na kształt litery „S” sekwencją chwytów, bez żadnych dodatkowych stopni. Zmagania na czas rozpoczęły kobiety, jednak po kilku startach i odpadnięciach pań, konstruktorzy musieli dokreślić jeden dodatkowy chwyt na pierwszych czterech metrach, gdyż droga okazała się być zbyt trudna. Mimo nieznacznego ułatwienia linii, nadal stwarzała nie lada problem dla wielu pań. Podhaczanie pięt czy bulderowe przechwyty, to niecodzienny widok na czasówkach. Na szczęście precyzja i szybkość, najlepszych zawodników w tej konkurencji, skutkowało dobrymi czasami. Po eliminacjach pań wystartowali panowie, im droga już nie sprawiła tylu problemów. Eliminacje wyłoniły dwie szesnastki, w skład których weszli również Edyta Ropek, Tomasz Oleksy i Andrzej Mecherzyński-Wiktor. Bardzo ładnie i precyzyjnie pobię junior Łukasz Świr, dla którego był to pierwszy start na Mistrzostwach. Ostatecznie zajął 25 miejsce.

Czasówki to bardzo widowiskowa konkurencja, publiczność znakomicie dopingowała zmagania zawodników, którzy wzbudzali podziw, biegając niekiedy na skraj odpadnięcia od ściany. Oprócz Rosjan, Ukraińców i Polaków, specjalizujących się w tej konkurencji znakomicie biegali reprezentanci Wenezueli, Chin czy Indonezji. W biegu o wejście do ósemki Edyta Ropek trafiła na bardzo silną zawodniczkę ze ścisłej światowej czołówki Tatianę Rouigę. Pierwszy bieg gdzieś do połowy ściany był wyrównany, ale od połowy Edyta zaczęła wyprzedzać konkurentkę, zestresowana Rosjanka popełnia błąd w akcie rozpaczony nie trafia w dzwonek i odpada od ściany. Edyta wygrywa, przechodzi do ósemki. Tomek Oleksy, również pokonuje swojego rywala, jedynie Andrzej Mecherzyński-Wiktor popełnia kilka błędów.

dów i niestety plasuje się na szesnastym miejscu. Kolejne biegi naszych reprezentantów to znów wygrane, Edyta i Tomek dostają się do czwórki. Dopiero w walce o wejście do ścisłego finału musieli oddać prym rywalom. I tak oboje walczą o brązowy medal. Edyta trafiła na zawodniczkę z Chin Cuifang He, która w biegu na pierwszej drodze łamie przepisy, na wymagającym pasażu, który pokonuje się wyłącznie na rękach z nogami na tarcie, Chinka widząc przewagę Edyty staje nogą na stalowej konstrukcji ściany, za co zostaje zdyskwalifikowana. Nasza Mistrzyni Polski spokojnie pokonuje drugą drogę, sięgając po pierwszy w jej życiu medal na zawodach międzynarodowych – Brąz Mistrzostw Świata. Jak sama powiedziała: „Jest to największe szczęście w moim życiu, każdemu polskiemu zawodnikowi życzę, by przez chwilę poczuł to, co ja, tę radość, szczęście i dumę, jaka Cię ogarnia, gdy stoisz na stopniu podium.” Jak zapowiedziała Edyta, teraz będzie myśleć o złotym medału. Jej starty nie były by możliwe bez wsparcia Polskiego Związku Alpinizmu, któremu chciałaby podziękować za pomoc finansową, zaś Marcinowi Bibro podziękować za pomoc trenerską. Tomasz Oleksy niestety musiał uznać przewagę swojego przeciwnika

Rosjanina Sergieja Sinicyna i zajął czwarte miejsce. Mistrzami Świata 2005 zostali Olena Riepkó z Ukrainy i Jewgienij Wajczechowski z Rosji.

W konkurencji bulderingu starty Polaków wyglądały następująco. Wśród pań najlepiej wypadła Renata Piszczek, która zajęła czwarte miejsce, Agata Wiśniewska zajęła 50 miejsce, zaś zmęczona po wyczerpującym starcie Edyta Ropek 58 miejsce. Tuż od wejścia do finału byli nasi panowie, którzy gdyby zrobili po jednym bulderze więcej, mieli by szansę na awans. I tak Tomasz Oleksy zajął 33 miejsce, Andrzej Mecherzyński – Wiktor 39 miejsce, a Mateusz Haładaj 43 miejsce.

Pełne wyniki z mistrzostw na: www.icc-info.org

Puchar Świata w Chamonix

Po mistrzowskich zmaganiach, światowa czołówka zawodników przeniosła się w rejon górski, do Chamonix. Rozegrano tu kolejną edycję zawodów na czas i na trudność. Wyniki naszej kadry na czas nie były już tak dobre jak w stolicy Bawarii. Edyta Ropek i Tomasz Oleksy na czas wywalczyli 7 miejsca. Natomiast znakomity start zaliczyła Kinga Ociepka, która na trudność zajęła 13 miejsce. W zawodach wystartowała również Małgorzata Kusztelak, która zajęła 38 miejsce. Startu na trudność spróbował również Tomek i udało mu się zdobyć 24 pozycję.

SpiderKids

Pod koniec lipca w Gdańsku odbył się wielki Festiwal Wspinaczki, w ramach którego rozegrano zawody SpiderKids będące edycją Puchar Polski juniorów młodszych i młodzików. W zawodach wystartowało 40 zawodników, w wieku od 6 do 15 lat.

Wyniki z zawodów dostępne są na stronach <http://kws.pza.org.pl>

Puchar Świata w Val Daone

Kolejna tegoroczna edycja pucharu w konkurencji na czas, tradycyjnie zawiątała do Włoskiej doliny Daone, na sztuczną ścianę, jaką jest potężna konstrukcja zapory wodnej. Z naszej kadry narodowej na start stawili się Edyta Ropek, Tomasz Oleksy i Łukasz Świrak. W zmaganiach kobiet, po eliminacjach Edycie przypadło zmierzyć się z bardzo dobrą zawodniczką z Indonezji Agung Etui Hendrewati. Niestety konkurentka była szybsza i to ona weszła do finału, Edyta musiała zadowolić się piątym miejscem. W zmaganiach mężczyzn bezkonkurencyjny okazał się być Tomasz Oleksy, który w ostrej rywalizacji z



Brązowa medalistka Mistrzostw Świata Edyta Ropek
Fot. A. Kamiński

Siergiejem Sinicyinem, pokonał wszystkich swoich konkurentów i pobił rekord tamy – 16”84, osiągając „niewiarygodną” (sformułowanie włoskich mediów) prędkość 5,85 km/godz. Znakomity start miał również Łukasz Świrk, któremu udało się wejść do ósemki, ostatecznie zajął właśnie tę pozycję.

Pełne wyniki na: www.icc-info.org

Mistrzostwa Świata Juniorów w Pekinie

Pod koniec sierpnia najważniejsze zawody juniorskie w tym roku zawiąły na kontynencie azjatycki, do Chin. Na zawody wybrała się spora reprezentacja naszego młodego narybku, tradycyjnie już najlepiej poszło Kindze Ociepce, która zajęła 4 miejsce na trudność. Wyniki innych członków naszej kadry juniorskiej wyglądały następująco: Patrycja Budzanowska 31 miejsce na trudność, Jakub Jodłowski 38 miejsce na trudność, Mateusz Łazor 15 miejsce na trudność, Marek Matys 45 miejsce na trudność, Jędrzej Komosiński 47 miejsce na trudność, Adam Kulas 42 miejsce na trudność. Jakub Jodłowski 5 miejsce na czas, Jędrzej Komosiński 10 miejsce na czas, Marek Matys 32 miejsce na czas.

Rock Masters Arco

Na początku września w Arco rozegrano już tradycyjnie, coroczną edycję zawodów Masters – najważniejszych na świecie zawodów tego typu. Zawodnicy walczą w kilku konkurencjach: bulderingu, na czas oraz w nietypowym dwuboju wspinaczkowym, w którym o wyniku decyduje łączny rezultat z dwóch konkurencji na trudność – wspinaczka po opatentowanej drodze i wspinaczka OS. W zawodach wziął udział jeden Polak, Tomasz Oleksy, który startował na czas i w bulderingu. Jak zwykle w Arco, start Tomka był rewelacyjny, bezkonkurencyjnie zwyciężył w swojej koronnej konkurencji na czas, walcząc jedynie z samym sobą, pokonując swój poprzedni rekord ściany czasem 10,60 sek. Bardzo dobry start zaliczył reprezentant Wenezueli Manuel Escobar, który słusznie rozbił stawkę zawodników ze wschodu zajmując drugie miejsce, trzeci był Jewgienij Wajczehowski.

Konkurencja bulderingu rozegrana została w nowym systemie, na czterech problemach, każdy startujący eliminował jednego zawodnika, a walka o podium rozegrała się pomiędzy ostatnimi trzema zawodnikami na ostatnim problemie. Tutaj również dobry start zaliczył Tomek, który wywalczył 4 miejsce. Zwyciężył Austriak Kilian Fischhuber. Wśród pań zwyciężyła Melanie Son z Francji.

W dwuboju na trudność na drodze bez znajomości zwyciężyli Angela Eiter i Jewgienij Owczynniki,

zaś na drodze ze znajomością, również wśród pań, wygrała Angela Eiter, natomiast wśród panów nastąpiło przetasowanie i zwyciężył Ramon Julian Puigblanque, zabierając Owczynnikiowi prowadzenie.

Pełne wyniki na: www.rockmaster.com

Nescafe Boulder Tour

Nadal trwa dobra passa Tomka Oleksego. Po sukcesach w Val Daone i Arco, przysły następne. W dniach 17-18 września w Pradze odbyły się zawody bulderingowe o Międzynarodowe Mistrzostwo Czech – Nescafe Boulder Tour. Rewelacyjnie spisał się na nich Oleksy, który zwyciężył w finale pokonując trzy z pięciu bulderów W eliminacjach, jak to ma zwyczaj, Tomek zaliczył jako jedyny wszystkie buldery i to w stylu OS. W zawodach wzięło udział 52 zawodników, do finału awansowało 10, wśród nich znaleźli się Marek Pobran (6. miejsce) i Grzesiek Naporą (8. miejsce). Konkurencję kobiecą wygrała Věra Kostruhová, druga była Lenka Trnková, a trzecia Silvie Rajfová. Polka Mirosława Terkiewicz zajęła 11 miejsce.

Szczegóły: www.lezec.cz

Firminy – Toma najlepszy!

Tomek Oleksy zwyciężył w czwartej edycji Pucharu Świata w bulderingu, Zawody odbyły się we francuskiej miejscowości Firminy w dniach 30 września – 1 października. Tomek od początku był w formie, co wykazały już eliminacje, zakwalifikował się do finału na pierwszej pozycji a w finale, ku ogromnemu zaskoczeniu fachowców, pokonał całą światową czołówkę. W pokonanym polu zostały takie sławy jak Francuz Daniel Dulac (II m.) i Austriak Kilian Fischhuber (III m.). Również w konkurencji kobiet rezultaty były zaskakujące. Zwyciężyła mniej znana Juliette Danion (Francja) przed faworytką – swoją rodaczką Sandrine Levet. „Zmiana liderów czy zmęczenie pod koniec sezonu?” – pytają światowe media.

Więcej szczegółów: www.icc-info.org

Nagroda Ministerstwa Sportu dla Edyty Ropek

Z przyjemnością informujemy, że brązowa medalistka tegorocznych Mistrzostw Świata Seniorów we wspinaczce sportowej otrzymała za wybitne osiągnięcia sportowe nagrodę finansową i zostało jej przyznane przez byłą Polską Konfederację Sportu (obecnie Ministerstwo Sportu) stypendium sportowe na okres roku.

Biuro Zarządu PZA

VII. edycja Explorers Festival

W dniach 16-20 listopada 2005 r. po raz siódmy odbędzie w Łodzi Explorers Festival. Festiwal zgromadzi miłośników gór, eksploracji, przygody i sportów ekstremalnych. Tegoroczny program będzie niezwykle bogaty.

W części **Touch of passion** – Dotyk Pasji – przewidziano prezentacje gości specjalnych festiwalu. Pojawia się światowe gwiazdy himalaizmu i sportów ekstremalnych, najsławniejsi globtroterzy, najwybitniejsi twórcy filmów o tematyce eksploracyjnej, osobistości świata kultury i eksploracji z zagranicy i Polski. Swój przyjazd na tegoroczny festiwal potwierdziło już wiele sław, m.in.:

Norman Kent (USA) – uważany za numer 1 na świecie w dziedzinie filmowania akrobacji powietrznych, współpracuje z wytwórniami w Hollywood, wielokrotnie nagradzany najbardziej prestiżowymi nagrodami;

Kurt Diemberger (Austria) – wielka postać światowego himalaizmu, jeden z ostatnich żyjących wielkich eksploratorów gór najwyższych;

Leo Houlding (Wlk. Brytania) – 23 letni wspinacz big wallowy najwyższej klasy, pokonujący ekstremalnie trudne drogi, mimo młodego wieku wzbudza podziw swoimi osiągnięciami na całym świecie;

Sandra Noel (Wlk. Brytania) – córka kapitana Johna Noela, organizatora słynnej wyprawy na Everest w 1924 roku, pokaże unikalny film nakręcony podczas dramatycznych wydarzeń i opowie o tej tak ważnej dla rozwoju alpinizmu wyprawie;

Krzysztof Zanussi – sławny reżyser – opowie o górskich inspiracjach w jego twórczości filmowej;

Erhard Loretan (Szwajcaria) – legendarna postać alpinizmu, trzeci zdobywca Korony Himalajów w nowatorskim alpejskim stylu;

Stephan Eberharter (Austria) – wielokrotny mistrz świata i olimpijski w narciarstwie zjazdowym;

Marko Prezelj (Słowenia) – znakomity wspinacz średniego pokolenia, mający na swoim koncie znakomite drogi w wielkich ścianach i na wysokich szczytach;

Marek Kamiński, Jaś Mela, Wojtek Ostrowski, Wojtek Moskal – zdobywcy biegunów, relacja z wypraw, których celem było zdobycie biegunów przez niepełnosprawnego Jasia Melę;

Kelly Perkins i Craig Perkins (USA) – Kelly po przeszczepie serca w 1995 roku dalej wspina się, pokonując ograniczenia, którym jest poddawana, wspaniały przykład zwycięstwa ducha nad ciałem;

W części **Top Kino** przewidziano spotkanie z najlepszymi filmami o tematyce związanej z festiwalem i ich twórcami; w tym roku gościem będzie Jerzy Surdel, który pokaże część najważniejszych filmów ze swojego dorobku.

Odbędzie się również **Konkurs Form Wizualnych i Sztuki Prezentacji Artshow 2005** – w kategorii film dokumentalny o nagrodę **Golden Frame** i 1500 euro rywalizować będą filmy dokumentalne i reportaże z całego świata.

W programie nie zabraknie również imprez dla wspinaczy sportowych:

Extremista 2005 – V. Otwarte Mistrzostwa Łodzi we Wspinaczce Sportowej o Puchar Prezydenta Miasta z udziałem czołowych zawodników z Polski i z zagranicy;

Harcowanie w Ścianie – II. Mistrzostwa Harcerzy we Wspinaczce o Puchar Komendanta Chorągwi Łódzkiej ZHP.

Jak co roku, kulminacyjnym punktem Festiwalu będzie uroczystość wręczenia nagród **Explorer 2005** przyznawanych największym zdobywcom Ziemi oraz nagrody **Camera Extreme 2005**, przyznawanej przez organizatorów festiwalu i Państwową Wyższą Szkołę Filmową, Telewizyjną i Teatralną w Łodzi, najwybitniejszym twórcom dzieł o eksploracji, sportach ekstremalnych i działaniach niezwykłych.

www.festiwalgor.pl

Festiwal można będzie oglądać na żywo w internecie:

www.lodman.pl/explorers

Taghia Dream Trip

Wiosną 2005 r. w rejonie Kanionu Taghia (Atlas Wysoki), działała wyprawa sportowa „Taghia Dream Trip” mająca na celu wytyczenie nowej drogi na 800-metrowej ścianie Tagouimmt N'Tsoouiannt (2977m). W jej skład wchodzili Eliza Kubarska, Dawid Kaszlikowski i Przemusław Klimek. Cel wyprawy został osiągnięty w 100%. Ekipa wytyczyła nową drogę *Fantasia*, 700m długości, trudności max. 7b+/c (VI.4+/5) (IX-/IX UIAA), w tym wiele wyciągów powyżej VIII UIAA.



Taghia – Eliza Kubarska podczas wspinaczki drogą *Fantasia* na ścianie Tagouimnt M'Tsoouiannt. Fot. D. Kaszlikowski

dołu (kombinacja wspinaczki klasycznej i hakowej). Jako że większość ściany to trudności płytowe nie dające możliwości na jakokolwiek inna asekurację droga została ubezpieczona spitami aż do wyciągu nr 13. Potem – w łatwym terenie – zainstalowaliśmy tylko pojedyncze spity na stanowiskach, dla umożliwienia zjazdów.

Około tygodnia zajęło samo czyszczenie skały i przygotowywanie drogi tak aby następcy mogli w pełni korzystać i cieszyć się tą wspinaczką. Należy jednak pamiętać że *Fantasia* jest w pełni górską linią, ze wszystkimi tego konsekwencjami: czasami napotyka się kruche partie ściany i kilka głazów których nie można ruszać (najbardziej niebezpieczne oznaczono czerwonymi krzyżykami) Poza tym samo pasmo górskie ze względu na wysokość (ok. 3000 m) bywa kapryśne pogodowo, zdarzają się burze i opady śniegu nawet w maju.

Pobocznym celem wyprawy była też realizacja filmu „Taghia Dream” o eksploracji Taghii, która jest wielościanowym „odkryciem” ostatnich lat . film był realizowany sukcesywnie podczas wyjazdu a dwa dni pracy (w deszczu) na ścianie zajęła działalność dokumentacyjna.

Poza *Fantasią*: zespół pokonał jeszcze kilka innych klasyków Taghii: jak *Baraka*, 7b, 600m (P. Klimek z tow.), *Au nom de reforme* 250 m , 6c+ i *Canyon Apache* 300m, 6c+.

Zespół Kaszlikowski-Kubarska wspinał się też częścią ubiegłorocznej drogi *Barracuda*, którą wraz z Borkiem Szybińskim wytyczyli rok wcześniej. *Barracuda* jest jedną z najtrudniejszych dróg klasycznych (na dziś dzień najtrudniejszą) jakie Polacy wytyczyli za granicą na wielkiej ścianie. Podczas naszej tegorocznej wspinaczki sprawdzaliśmy stan ubiegłorocznych stanowisk a Kaszlikowski chciał (i zrobił to) poprowadzić część najtrudniejszych wyciągów jakich nie robił (bo zespół zmieniał się na prowadzeniu) w roku ubiegłym.

Wg www.pza.org.pl

Nasi w Bugaboos

W kanadyjskim masywie Bugaboos w sierpniu 2005 działalność wspinaczkową prowadzili członkowie wyprawy Polskiego Związku Alpinizmu w składzie Maciej Ciesielski (UKA Warszawa, Montano, Hannah, Roberts), Tadeusz Grzegorzewski (Montano, KW Warszawa), Filip Zagórski (UKA Warszawa) i Wawrzyniec Zakrzewski (UKA Warszawa). Pierwotnym celem wyprawy było poprowadzenie nowej drogi

Jest to poważna górską linią na najbardziej gładkiej części największej ściany pokonanej w Atlasie Wysokim. Była ona jak dotąd głównie domeną hakmistrzów, którzy prowadzili drogi hakowe po skale umożliwiającej relatywnie łatwą wspinaczkę klasyczną. Zespół Eliza Kubarska , David Kaszlikowski wytyczył większość drogi. W drugiej połowie wyprawy dołączył do ekipy Przemek Klimek który pomógł w górnej części drogi. Przejście RP zostało dokonane z biwakiem w dniach 23-24 maja 2005.

Fantasia jest jedną z najbardziej urozmaiconych dróg Taghii, wspinaczka po takich formacjach jak kominy i zacięcia, przeplata się z trudnościami płytowymi. Droga została wytyczona od



Bugaboos - Snowpatch Spire od południowego zachodu.

Fot. J. Kurczab

na jednym ze szczytów oraz/lub powtórzenie jednej z trudnych dróg klasycznych. Była to prawdopodobnie druga wyprawa polska w ten masyw.

Przez cały sierpień pogoda nie rozpieszczała uczestników. Krótkie okresy dobrej pogody poprzedzane były 3-4-dniowymi załamaniem pogody. Pod koniec pobytu miał miejsce potężny opad śniegu znacznie utrudniający działalność zespołu. Mimo wszystko co nieco udało się zrobić. Prawdopodobnie wszystkie poniższe wspinaczki to pierwsze polskie przejścia. I tak padły:

- *Sunshine crack* na Snowpatch Spire (5.11a, OS, 4,5h) M. Ciesielski i W. Zakrzewski; na drodze były tak szerokie offwidth-y, że Camaloty #4 okazały się być niewystarczające;

- Mega klasyk rejonu czyli droga *Becky-Chouinard* na South Howser Spire (5.10a, OS, 900m) – W. Zakrzewski i F. Zagórski oraz M. Ciesielski i T. Grzegorzewski, ok. 8,5 godz. do szczytu, ok. 18 godz. „tent to tent”;

- *McTech* na Crescent Spire (5.10a, OS) W. Zakrzewski i F. Zagórski oraz M. Ciesielski i T. Grzegorzewski;

- Kombinacja dwóch dróg na zachodniej ścianie Snowpatch Spire (ok. 5.11d, RP) zakończona tuż pod wierzchołkiem – M. Ciesielski, W. Zakrzewski i F. Zagórski;

- *Fingerberry jam* na Pigeon Feathers (5.12a, OS, ok. 250m; M. Ciesielski, W. Zakrzewski i F. Zagórski). Asekuracja bardzo wymagająca.

Uczestnicy wyprawy planowali jeszcze zrobienie nowej drogi, jednakże po podejściu pod ścianę okazało się, że... spóźnili się mniej więcej o godzinę. Wybraną przez nich linią rozpoczął wspinaczkę inny zespół. Dalszą działalność uniemożliwiły duże opady śniegu. Uczestnicy wyprawy (bez Tadeusza Grzegorzewskiego, który powrócił do kraju) udała się następnie do Doliny Yosemite.

Jakub Radziejowski

Sześciotysięczna łańcuchówka

Niespełna 30-letni Ueli Steck, szwajcarski przedstawiciel wspinaczkowej moderny, przeniósł alpejski koncept ścianowej łańcuchówki w wysokie masywy Himalajów (łańcuchówki szczytowe były już nawet na 8-tysięcznikach). Na wiosnę 2005 zaplanował seryjne przejście trzech trudnych ścian w Khumbu Himal, w rejonie Mount Everestu. W połowie kwietnia uporał się z pierwszą z nich: skrajnie trudną północną ścianą Cholatse (Jobo Lhaptshan, 6440 m). Szedł na lekko – plecak ważył zaledwie 6 kilo. Biwakował raz w ścianie i drugi raz w trakcie zejścia również niełatwą ścianą południową (tu nie tylko „na lekko”, ale i „na głodno”). 1600-metrową północną ścianę porównuje z północną ścianą Eigeru w linii drogi klasycznej, z tą różnicą, że szczyt znajduje się półtorej mili wyżej (Eiger 3970 m), a w razie drobnej nawet awarii nie ma mowy o jakiegokolwiek pomocy.

Wyczerpany psychicznie wspinaczką na Cholatse, Steck dochodził do siebie w bazie przeszło tydzień. Potem przeszedł samotnie wschodnią ścianę Taboche (6500 m), sterczącego pośrodku Khumbu Himal, obok Cholatse. Wybrał umiarkowanie trudną lodową nitkę w lewej połaci ściany, po prawej mając niebezpieczne kruszyzny. Udało mu się dosłownie przebiec ścianę – w 4 i pół godziny! Było to pierwsze solowe wejście na ten trudny szczyt i pierwsze w ciągu ostatnich 7 lat. Trzeci cel Szwajcara stanowiło III przejście północno-wschodniej ściany Ama Dablam (6828 m), niestety, niebezpieczne warunki śnieżne zatrzymały go na wysokości 5800 m, uniemożliwiając mu pełną realizację planu. Ale i tak to, co zrobił, jest jednym z głównych sportowych wydarzeń himalajskiej wiosny 2005. Uli Steck znany jest z licznych nowych dróg, m.in. na Eigerze i Mount Dickey na Alasce (z Seanem Eastonem). W towarzystwie Stephana Siegrista wslawił się łańcuchówką północnych ścian Eigeru, Möncha i Jungfrau zamkniętą w imponującym czasie 25 godzin.(jn)

Na i pod Everestem

Helikopter na szczycie Mount Everestu

14 maja 2005 r. seryjny (!) helikopter Ecureuil/AStar AS 350 B3 pilotowany przez Didiera Delsalle wylądował na wierzchołku Everestu (8848 m) ustanawiając rekord świata w lądowaniu i starcie na wysokościach. Poprzedni rekord należał do helikoptera indyjskiej armii Cheetal, który 2 listopada 2004 r. wylądował na Saser Kangri I (7672 m) w Karakorum.

Delsalle wystartował z Lukli (2850 m), wylądował na szczycie i zgodnie z regulami „siedział” tam ponad 2 minuty. Wyczyn został powtórzony następnego dnia. Osiągnięcie to powszechnie uważa się

za milowy krok w historii lotnictwa. Można mieć jednak mieszane uczucia: do akcji ratowniczych w podszczytowych partiach najwyższej góry świata zapewne jeszcze daleko, bliżej do komercyjnych wycieczek na Mount Everest...

Zastanawiająca była reakcja władz nepalskich: – „Helikopter nigdy nie wylądował na szczycie, a rząd nie wydawał zezwolenia na lot w rejonie Everestu” – oświadczył Nagendra Prasad Ghimire, minister Kultury, Turystyki i Lotnictwa Cywilnego Nepalu.

Urszula Tokarska na Evereście

2 czerwca o godz. 17 na wierzchołek Everestu weszła nasza rodaczka z Toronto, Urszula Tokarska. Towarzyszyli jej dwaj Sierpowie Nyima Tashi i Pema Temba. Zespół wystartował z Przełęczy Południowej bardzo późno – o godz. 8.30. Rozwinęli jednak dobre tempo – o godz. 15 dotarli na Południowy Wierzchołek, i w 2 godziny później – na główny szczyt, na którym, przy nieustannie pięknej pogodzie, pozostawali przez dalsze 2 godziny.

Tym samym Tokarska została pierwszą kanadyjską zdobywczynią Korony Ziemi. Kolekcjonowanie szczytów zaczęła w 2001 r. wejściem na Aconcaguę. Potem przyszły następne: Kilimandżaro i Elbrus w 2002 r., Mount Vinson, Denali i Mount Kościuszko – w 2004. W 2004 r. atakowała również Everest ale została zmuszona przez niepogodę do odwrotu, będąc już blisko wierzchołka

Urszula Tokarska z zawodu jest architektem wewnątrz. Urodziła się w Słupsku i ukończyła Akademię Sztuk Pięknych w Gdańsku. Do Kanady wyemigrowała w 1988 r., obywatelstwo kanadyjskie ma od 1993 r. Tam też zdobyła dyplom Ontario College of Arts.

Lawina w Kotle Zachodnim

Jak podają agencje 4 maja 2005 r. o godz. 5.15, ogromna lawina, spowodowana przez obryw seraka ok. 1500 m ponad lodowcem, zeszła z zachodniej grani Everestu wprost na obóz I w Kotle Zachodnim. Na szczęście, w obozie znajdowało się wówczas niewiele osób. Choć zniszczeniu uległo kilkadziesiąt namiotów, nikt nie zginął, choć 7 osób zostało rannych. Dwóch nowojorczyków zostało porwanych i wleczonych po lodowcu, gdy próbowali uciec ze swoich namiotów. Doznali oni poważnych ran, złamań i obrażeń wewnętrznych. Kanadyjczyk i samotny Polak (kto to mógł być?) zostali mocno poturbowani ale również przeżyli. Bez szwanku wyszły uczestniczki irańskiej wyprawy kobiecej, która rozbiła namioty w nieco innym miejscu. Wystartowały one do obozu II, nawet nie wiedząc, że „jedynka” została zmieciona przez lawinę. Najcięższe obrażenia odniósł jeden z Sierpów, którego stan początkowo oceniano na krytyczny.

Koreańczycy po śladach Messnerów

Dwójka koreańskich alpinistów Kim Chang Ho i Lee Hyun Jo dokonała latem 2005 r. drugiego trawersowania masywu Nanga Parbat (8126 m). Koreańczycy powtórzyli osiągnięcie Reinholda Messnera, który w 1970 r. wraz z bratem Güntherem przetrawersował tę złowrogą górę. Jak wiadomo dla Günthera skończyło się to tragicznie. Po paromiesięcznych przygotowaniach na trasie zbliżonej do drogi Messnerów na ścianie Rupal, Koreańczycy założyli obóz szturmowy pod piramidą szczytową, osiągnęli szczyt, po czym zeszli flanką Diamir.



Nanga Parbat z lotu ptaka. Po prawej strobie kopuły szczytowej widać przełęczkę, na której biwakowali bracia Messnerowie przed tragicznym zejściem flanką Diamir.

Fot. W. Rutkiewicz

Nanga Parbat była tego lata bardzo popularną górą. O nowej drodze Amerykanów Andersona i House'a piszemy na s. 30. W sumie na wierzchołek weszło ponad 20 alpinistów. W tym gronie znalazła się również Baskijka Edurne Pasabán (wierzchołek 20 lipca), która ma już na swoim koncie 8 ośmiotysięczników i wraz z Gerlinde Kaltenbrunner (wejście na GII w dniu 22 lipca) przewodzi stawce żyjących alpinistek w wyścigu do Korony Himalajów. Interesujące, obie rywalki, jako następny cel wyprawy obrały Broad Peak. Dopiero w przypadku udanego wejścia na ten szczyt, obie panie będą miały na swoim koncie więcej ośmiotysięczników od Wandy Rutkiewicz.

Pierwszy Brytyjczyk w Koronie Himalajów

30 maja 2005 r. Anglik Alan Hinkes wszedł na Kangchenjunge (8586 m), stając się pierwszym brytyjskim zdobywcą Korony Himalajów. Hinkes wystartował 26 maja z bazy wysuniętej (6000 m), mając za towarzysza Szerpę Pasanga Gelu. Intensywny opad śniegu spowolnił wspinaczkę i uniemożliwił osiągnięcie obozu III w dniu 28 maja, co zmusiło ich do biwaku na wysokości 7400 m. Następnego dnia próbowali atakować szczyt, ale złe warunki zmusiły alpinistów do wycofania się. Drugi atak nastąpił 30 maja o 1 w nocy. Ciągłe padał śnieg, ale dwójka parła do góry. Wreszcie siły opuściły Pasanga Gelu, gdy do szczytu brakowało tylko 15 minut. Hinkes kontynuował wspinaczkę i samotnie osiągnął wierzchołek o godz. 19. „To była najcięższa wyprawa w moim życiu” – opowiadał Alan Hinkes – „Przez całą okres jej trwania nie mieliśmy dobrej pogody, co oznaczało konieczność bezustannego torowania w głębokim świeżym śniegu. Niebezpieczeństwo lawin było olbrzymie, a każdy krok stanowił próbę odporności fizycznej i psychicznej. Powrót do bazy był jednym z najszcześniejszych momentów w życiu. Zrzuciłem z siebie w namiocie przemoczone ubranie i pomyślałem: nareszcie tego dokonałem!”

Pierwszym ośmiotysięcznikiem Alana Hinkesa była Shisha Pangma, na którą wszedł w 1987 roku. Zdobywanie wszystkich czternastu trwało więc aż 18 lat, choć w jednym 1996 roku udało mu się „zaliczyć” aż trzy: Everest oraz Gasherbrumy I i II.

Nowe drogi w grupie Trango

Severance Ridge na Trango II

Międzynarodowy zespół Jonathan Clearwater (Nowa Zelandia), Jeremy Frimer (Kanada) i Sammy Johnson (USA) poprowadził nową drogę na Trango II (6327 m) – turnię sąsiadującą ze sławną Nameless Tower (Karakorum). Początkowo zespół zamierzał poprowadzić nową drogę na Uli Biah Tower, jednak zrezygnował i przeniósł się w masyw Trango Towers. Droga nazwana *Severance Ridge* (VI 5.11 A2 AI3 M5), o długości 1600 metrów, biegnie zachodnim żebrem turni. Poprowadzono ją w stylu alpejskim w ciągu 5 dni i jak pisze Johnson, jest to „dużo trudnego wspinania z wymagającą asekuracją”. Przez 4 dni gnębiła wspinaczy niepogoda a na 2 dni przed końcem wyczerpały im się zapasy żywności.

Assalam Alaikum - na Great Trango Tower

Dodo Kopold i Gabo Čmárik wytyczyli nową drogę na Great Trango Tower (6286 m) w Karakorum. Słowacy zaatakowali ścianę 4 sierpnia w stylu alpejskim (z liną, dwoma małymi plecakami, jedzeniem na cztery dni, bez śpiworów, karimatek, czy portaledge'a) od południowo-zachodniej strony na prawo od drogi Cordes-Wharton – *Azeem Ridge* („Taternik” 4/2004 s. 47). Mimo dobrych prognoz już na drugi dzień wspinania zaczął padać deszcz przechodzący w śnieg, ale „prawdziwe piekło” przyszło czwartego dnia wspinaczki. Temperatura w nocy spadła do -15° , zaczęło mocno wiać i wzmożyły się opady śniegu. Ściana stopniowo ulegała zalodzeniu, co spowolniło tempo Słowaków – piątego dnia byli 100 metrów od wierzchołka, który osiągnęli dopiero po dwóch dniach, 11 sierpnia. Zejście drogą normalną okazało się niemożliwe ze względu na ogromne niebezpieczeństwo lawin, więc, postanowili zjeżdżać zachodnią ścianą. Po dwóch godzinach zjazdów, w łatwiejszym terenie Kobolda porwała lawina, która szczęśliwie zatrzymała się po 150 metrach. Skończyło się na zgubieniu jedynej liny. W zejściu, już z konieczności bez asekuracji, jeszcze Čmárik poleciał 30 metrów w lodowym terenie. Ale szczęśliwie, po 16 godzinach zejścia dotarli do bazy. Słowacy pozostawili na drodze jedynie 3 haki i 2 spity (na wahadła). W zjeździe wbili 8 spitów i pozostawili prawie cały sprzęt. Ich droga to 90 wyciągów wspinania o trudnościach VIII A2 ABO.

Dwójką na północnej ścianie Chan Tengri

Rosyjscy alpinisci Paweł Szabalin i Iljas Tuchwatullin dokonali w dniach 20-29 sierpnia 2005 r. przejścia północnej ściany Chan Tengri (6995 m). Było to pierwsze przejście tej niebezpiecznej, ponad 2-kilometrowej ściany w zespole dwójkowym. Wcześniej próbowało tej sztuki 6 zespołów, w tym Polacy Gołąb i Skorek w 2004 r. Jak wiadomo, polska próba zakończyła się tragicznie. W czasie odrotu podczas załamania pogody zginął jeden z najbardziej obiecujących polskich alpinistów 26-letni Grzegorz Skorek.

Szabalin i Tuchwatullin posuwali się kombinacją dróg: Studenina (dolna część), Mysłowskiego (środkowe partie) oraz Zacharowa (komin w kopule szczytowej). Rosjanie liczyli początkowo na 5-dniowe przejście ściany, tymczasem trwało ono dwa razy dłużej. Jeden dzień stracono przeczekując złą pogodę, jeszcze jeden – z powodu konieczności naprawy maszynki do gotowania.

Nowe plany Rosjan

Rosyjscy himalaiści prześcigają się w wymyślaniu coraz to poważniejszych wyzwań w najwyższych grach świata. Latem 2005 r. działały w Karakorum dwie grupy rekonesansowe, przygotowujące ścianowe wyprawy, które wyruszą w następnym roku.

Kolejnym projektem programu: „Big Wall – Russian Way” ma być niezdojdyta i nawet nigdy nie atakowana północno-wschodnia ściana Masherbrum (7821 m). Możliwość poprowadzenia na niej drogi badali znani zdobywcy północnej ściany Jannu – Aleksander Odincow i Aleksander Ruczkin. Tę ponad 3-kilometrowej wysokości ścianę można podzielić na trzy mniej więcej równe części. Górną tworzy pionowy monolit żółtego granitu, środkowa to czarny łupek o nachyleniu powyżej 70°, zaś dolna – stromy lodowo śnieżny stok z wiszącymi serakami. „Dolną partię ściany będziemy musieli przebiec bardzo szybko” – powiedział Aleksander Ruczkin po powrocie do Moskwy.

Inna ekipa Rosjan planuje w 2006 r. wyprawę na potężną zachodnią ścianę K2. Celem grupy rekonesansowej było założenie bazy, wytyczenie linii nowej drogi a nawet rozpoczęcie poręczowania dolnych partii. W zasadniczej wyprawie ma wziąć udział 20 czołowych alpinistów z całej Rosji.

Jak wiemy zachodnia ściana K2 znajdowała się w kręgu zainteresowania naszego Wojtka Kurtyki i jego brytyjskich partnerów Alexa McIntyre'a i Douga Scotta. Jednak nie atakowano potężnego monolitu w środku ściany, „Gruszkii” (jak nazwaliśmy go w 1982 r.), lecz półksiężycowaty żleb na lewo od niej.



Północna ściana Chan Tengri z trasą przejścia zespołu Szabalin-Tuchwatullin. www.mountain.ru

Topo: J. Kurczab



Północno-wschodnia ściana Masherbrum. Fot. A.Ruczkin

Włoski Nos na Grandes Jorasses

Il Naso (pol. nos, fr. le nez) – to nazwa, jaką Mauro Bubu Bole i Mario Torello Cortese nadali swojej nowej drodze na północnej ścianie Grandes Jorasses. Linia Włochów startuje na prawo od klasycznej drogi na *Filarze Croza* a następnie przecina ją. Wyżej krzyżuje się również z *Le Chemin des Etoile, Decolage* i *Manitua*.

Prace nad drogą zajęły Włochom prawie miesiąc, na wierzchołek weszli 4 września 2005 o godz. 23.30. W tym czasie mieli 10 dni efektywnego wspinania, pomiędzy załamaniami pogody i powrotami do domu. 1100-metrowa droga ma 38 wyciągów a maksymalne trudności sięgają 7c. *Il Naso* biegnie przez trzy wyciągi razem z *Manitua*, by uciec z niej, Włosi musieli pokonać dziewiczy teren, i tam właśnie napotkali trudności 7c i musieli wbić trzy spity. Bubu przyrównuje drogę do Women and Chalk na Shipton Spire (Karakorum), którą razem z Mario Cortese i Fabio Dandri wytyczyli w 2001 roku.

150 lat temu zdobyto Monte Rosa

Tego lata przypadła 150 rocznica zdobycia Monte Rosa (4633 m), drugiego pod względem wysokości szczytu Alp. Przypomnijmy, dokonali tego wchodząc na kulminację masywu Dufourspitze w dniu 1 sierpnia 1855 r., bracia James-Grenville i Christopher Smyth, Charles Hudson, John Birkbeck i E.W. Stephenson oraz przewodnicy Ulrich Lauener, Johannes i Matthäus Zumtaugwald. Z tej okazji odbyło się szereg uroczystości w najwyższym położonym schronisku alpejskim Capanna Regina Margherita na Punta Gnifetti (in. Signalkuppe, 4554 m), z którego rozciąga się wspaniała panorama Alp, od Alp Nadmorskich, poprzez Mont Blanc i szwajcarskie czterotysięczniki, po Dolomity.

W dniach przygotowań do uroczystości zakończono toczący się od wielu lat spór o zaawansowaną już budowę kolejki linowej na Monte Rosa, która miała przedłużyć istniejącą kolejkę na Punta Indren o 400 m w pionie. Rozstrzygnęli go na swoją korzyść jej przeciwnicy. Konferencja zorganizowana przez władze regionu Piemontu z udziałem działających tam służb technicznych, zdecydowała na „nie”, jako powód podając trudności techniczne (niemożliwość zapewnienia bezpieczeństwa w warunkach lawiniastych) oraz ochronę środowiska naturalnego. Sprawa nabrała wymiaru politycznego. Niezadowolone są władze sąsiedniego regionu Valle d’Aosta, przedstawiciele kilku partii politycznych oraz mieszkańcy dolin Gressoney i Alagna. Dla tych ostatnich budowa dawała szansę nowych miejsc pracy, a później – zwiększonego napływu turystów.

UP – akcent polski

Ukazał się nowy numer „UP – european climbing report”. Świetne wydawnictwo, a w nim sporo akcentów polskich, jakie znalazły się tam dzięki kontaktom nawiązanym przez redakcję A/Zero z Maurizio Oviglią i Lorenzo Castaldim.

Przed wszystkim zobaczyć można topo Mnicha z drogą *Misterium Nieprawości*, do tego opis, dojazd i zdjęcia Andrzeja i Szalonego. Ponadto wypowiedzi Dawida Kaszlikowskiego w części „dyskusyjnej” wśród prawdziwie doborowego towarzystwa. Jest o nowej polskiej drodze na Jorasses, a także – jak to miło widzieć – informacje o nowych drogach w Tatrach – *Czasie Pogardy* i wspomnianym *Misterium*. „UP” dostępne jest wysyłkowo na stronach „Versante Sud”. Zdjęcie na okładce jest autorstwa Dawida Kaszlikowskiego.

Artur Paszczak

Uzupełnienie

W artykule „W Grampianach”, opublikowanym w „Taterniku” nr 2/2005 na s. 23, pomyłkowo opuszczone zostały przejścia Marcina Rutkowskiego, jakich dokonał on bez mojego udziału:

- *Alladin’s Mirror Direct* plus *Pygmy Ridge*, rejon Carnigorm, V,5 ok. 100m: Marcin Rutkowski i Adam Thomas;
- *The Message* V,6 ok. 100m, rejon Carnigorm: Nick Donahue i Marcin Rutkowski.

Jan Kuczera

Eugeniusz Chrobak: „Oddychać górami.

Od Kazalnicy do Everestu”

Wyd. STAPIS Katowice 2005. 80 stron, 38 zdjęć czarno-białych. Oprawa miękka plus obwoluta.

W serii „Literatura górská na świecie” ukazał się zbiór opowiadań wybitnego alpinisty Eugeniusza Chrobaka. Pochodzą one z gazet i czasopism: „Taternik”, „Wieczór”, „Kalejdoskop młodych”, „Światowid” oraz książki „Ostatni atak na Kunyang Chhish”. Autor publikował sporo, ale dopiero teraz, w 16 lat po śmierci na przełęczy Lho La, jego teksty ukazały się w wydaniu książkowym. A to dzięki Małgorzacie i Janowi Kielkowskim, którym zawdzięczamy pomysł, wybór i redakcję książki oraz przychylności wydawcy Stanisława Pisarka.

„Od pierwszych stron książki towarzyszymy Autorowi i jego partnerom na drogach tatrzańskich i alpejskich, w pierwszych zimowych przejściach i prowadzeniach nowych dróg o najwyższych trudnościach. Razem z nimi przeżywamy zimne biwaki w wielkich ścianach i trudy zdobywania gór najwyższych. Czujemy radość zwycięstwa i gorzki smak górskiej tragedii” (fragment „Wstępu” do książki napisanego przez M. i J. Kielkowskich).

Jan Kielkowski: „Eastern Baltoro Mustagh.

Gasherbrums and Broad Peak”. Wyd. MJKmountains@aol.com Düsseldorf 2005. 178 stron, 93 rysunków i mapek. Oprawa miękka.

Kolejny tom w znanej „czerwonej” serii anglojęzycznych przewodników wybitnego znawcy wysokich gór Jana Kielkowskiego. Obejmuje swoim zasięgiem najczęściej ostatnio odwiedzane partie Karakorum – masyw Broad Peaku i grupę Gasherbrumów, a także grupę Sia Kangri. Przewodniki Kielkowskiego to cenione w świecie niezbędne narzędzie każdego himalaisty i organizatora wypraw w najwyższe góry świata, zadziwiające precyzją rysunków i ogromną

ilością historycznych detali.

Wielka Encyklopedia Gór i Alpinizmu

Praca zbiorowa pod redakcją Małgorzaty i Jana Kielkowskich. Wydawnictwo STAPIS, Katowice 2005, druk: Prodruk Katowice sp.j., oprawa Cartotecnica Polska sp. z o.o. Tom II „Góry Azji”, stron 808, format 17x25 cm, ponad 4300 haseł, liczne ilustracje czarno-białe i barwne, ok. 235 map, twarda oprawa plus obwoluta.

Po wydanej w roku 2003 części I „Wprowadzenie”, ukazał się tom II „Wielkiej Encyklopedii Gór i Alpinizmu” Jana i Małgorzaty Kielkowskich, zatytułowany „Góry Azji”. Autorzy nie lękają się, że ktokolwiek przeczyta ich dzieło, ale też nie po to je tworzą. Książek do czytania o wyprawach nie brakuje, albumy pełne są cudownych zdjęć, szeroką rzeką płyną aktualności z gór, na które nie musimy już wyczekiwać miesiącami. Ten *embarras de richesse* ma też ujemną stronę, że obserwatorzy himalajskiej sceny czują się pogubieni w mnogości informacji, w coraz szczegółowszej geografii wysokich krain, w chwiejnej transkrypcji nazw gór, w coraz drobniejszych oczkach siatek dróg, wreszcie w ulegających erozji zasadach wysokogórskiej gry. Jeśli chodzi o góry Azji – największe i najwspanialsze na świecie – tom II WEGA selekcjonuje dla nich i porządkuje alfabetycznie tę wiedzę, staje się przewodnikiem po gąszczu danych, zajmując miejsce na najpodręczniejszej z domowych półek, obok książki telefonicznej, słowników i – *last but not least* – „Wielkiej encyklopedii tatrzańskiej” Paryskich. Jego pojawienie się jest w literaturze górskiej wydarzeniem światowym, ponieważ pozycji o tej szczególności dotąd nie było i pewnie długo nie będzie, jeśli w ogóle ktoś odważy się podjąć trud stworzenia podobnego dzieła. „Jak oceniasz Kielkowskich?” – spyaliśmy Jurka Wałę. – „Muszę powiedzieć, że służy mi znakomicie, nie potrzebuję ślezczyć nad stosami papierów, by odszukać jakiś szczegół. Tu wszystko jest pod ręką. Książka kosztuje sporo, ale chcesz – nie chcesz, musisz ją mieć na biurku.”

WEGA jest z założenia dziełem zbiorowym, jednak w „Górach Azji” współpracowników widać tylko na obwolucie, bez mała wszystkie hasła sgnowane są „JKi”. Teksty wspiera bogaty materiał ilustracyjny z dużą liczbą nabytych treści map, z których tylko kilka oznaczono jako przeniesione z obcych źródeł (takich jak Japanese Alpine News, Pobieżdionnyje Wierszyny). Dobrze że tom utrzymany jest autorsko i wydawniczo w

skromnym encyklopedycznym stylu – bez kokietowania czytelnika ozdóbkami, kontrami, złotymi myślami w ramach. Takie nowinki szybko się starzeją, a dzieło tej rangi ma przetrwać stulecia – przykładem nasz „Słownik geograficzny Królestwa Polskiego” z lat 1880–1895, staroświecki, nie wolny od błędów, ale po dziś dzień niczym lepszym nie zastąpiony. Kielkowscy mają na twardych dyskach już większość materiału z innych kontynentów i kolejne tomy obiecują kończyć w rytmie rocznym. Ale wydawnictwo „Stapis” już po tych dwóch tomach może być dumne z podjętego dzieła.

Czy w „Górach Azji” nie ma usterek? Oczywiście są, niektóre rzucają się w oczy, jak np. częściowo słabe ilustracje. O części autorzy już wiedzą, na inne przyjdzie kolej, kiedy poujawniają się w trakcie użytkowania książki. Pamiętajmy jednak, że pewnego (sporego zresztą) procentu błędów nie wstydydza się nawet dysponujące wielkimi sztabami ludzi Larousse, Brockhaus czy Britannica.

Znane jest powiedzenie, że czas warto poświęcać tylko tym książkom, które zasługują na nagrodę Nobla. Dzieło Kielkowskich Nobel raczej nie grozi, ale Złoty Czekan na koniec pracy byłby zapewne jakąś rekompensatą za ich trud i uznanie dla ogromu górskiej wiedzy, jaki reprezentują. Przed nimi już tylko 5 tomów – przedostatnim będzie słownik biograficzny, w którym wielu z nas seniorów znajdzie własne nazwiska i daty urodzenia – daty bardzo się przydadzą, gdyż sami skutek postępu sklerozy nie będziemy ich już pamiętali. Dbajmy o zdrowie, by dożyć tej chwili...

Józef Nyka

Wspaniała robota! Tak najkrócej można by określić drugi tom encyklopedii Kielkowskich. Jest w niej wszystko o górach Azji, od Japonii po Kaukaz.

W tego typu pracy, będącej przecież zbiorowym dziełem różnych autorów, najważniejszym jest znalezienie prostego, jasnego klucza według którego korzystać można z encyklopedii. I Kielkowscy dokonali właściwego wyboru. Tym kluczem są nazwy masywów górskich, łańcuchów i poszczególnych wierzchołków – według podanej na wstępie zasady transkrypcji nazw (a w wypadku nazw azjatyckich jest to szczególnie ważne). Nie ma najmniejszego kłopotu z odnalezieniem hasła dowolnej góry. Myślę, że przyjęcie każdego innego kryterium utrudniłoby korzystanie z tego wspaniałego opracowania. Brawo!

Przejdźmy do haseł merytorycznych. Trudno, oczywiście, przeczytać dokładnie w kilka dni cały tom. Przestudiowałem więc hasła standardowe (Mount Everest, Changabang, Karakorum, Kaukaz itp.), te wierzchołki w zdobywaniu których udział Polacy mieli swój znaczący udział, hasła gór na których byli moi przyjaciele, czy wreszcie ja sam. Nie znalazłem żadnych błędów, chociaż jakieś drobne usterki w tak ogromnym dziele są. Nie jestem specjalistą od Himalajów czy Karakorum (lepiej pewnie sprawdzili by hasła, Zbyszek Kowalewski, Jano Kurczab, Józef Nyka czy Jurek Wala) ale materiał informacyjny jest wspaniały. Są tu hasła nie tylko gór (w potocznym tego słowa znaczeniu), ale także charakterystyki wielu „obiektów” górskich, rejonów skalne, lodospady, rzeki – wszystko, czego dusza zapagnie. Na podstawie tego tomu można naprawdę zaplanować dowolną górską wyprawę w każdy rejon Azji. Po raz drugi brawo!

To co różni (na korzyść) tom drugi od pierwszego, to wyraźna poprawa jakości materiału ilustracyjnego. Zdjęcia czarno-białe są w większości na przyzwoitym poziomie, niezłe są barwne ilustracje. Niektóre mapy są mało czytelne, ale tłumacząc to natłokiem materiału informacyjnego w nich zawartym. Brawo wydawnictwo!

Kolejna sprawa. Czy encyklopedia Kielkowskich ma polski „przechył”? Z pewnością ma (źródła), ale nie jest to rażące, nie pomija się istotnych dokonań innych nacji, tak jak to ma miejsce w niektórych opracowaniach brytyjskich czy francuskich (sam mam kilka takich pozycji na półce). Myślę, że pracę tą można śmiało tłumaczyć na obce języki (oby jak najszybciej).

Na koniec refleksja związana z udziałem Polaków w poznawaniu i zdobywaniu gór Azji. Od Himalajów po Kaukaz byliśmy naprawdę dobrzy, zważywszy na ograniczenia polityczne i gospodarcze z jakimi przyszło borykać się temu zwłaszcza pokoleniu, które na dwa-trzy dziesięciolecia wyniosło Polskę na top, w takich dziedzinach jak np. himalaizm zimowy, alpinizm kobiecy, pierwsze wejścia i nowe drogi robione wszędzie, gdzie tylko się dało, styl alpejski na najwyższych szczytach świata czy bieg po Koronie Himalajów.

Gdy piszę ten tekst, z Karakorum nadeszły niepomysłne wieści: wypadek Artura Hajzera na Broad Peak, niepowodzenie Czerwińskiej, Cichego i Załuskiego na K2. Te nazwiska często pojawiają się (obok dziesiątek innych Polaków) w hasłach encyklopedii Kielkowskich. Niektórzy „starzy mistrzowie” ciągle są w górach. I tylko ich sportowych następców jakoś nie widać (z wyjątkiem wspaniałego zimowego wejścia na Shisha Pangma). Ale jest, jak jest.

Na koniec jeszcze jedno. Rozumiem ograniczenia finansowe wydawnictwa przy edycji takiej pracy i podziwiam „Stapis” za trud ich podjęcia. Ale indeks haseł powinien być, moim zdaniem, w każdym tomie, nawet, gdyby miało to zwiększyć znacznie jego objętość.

A teraz czekamy na następny tom „Góry Europy”, w którym będą nasze Tatry. Panie i Panowie! Kapelusze z głow przed Małgosią, Jaśkiem i wszystkimi współautorami.

Andrzej Skłodowski

Wypadki taternicze w lecie 2005

Adam Marasek

15 lipca podczas wspinaczki Żebrem Czecha na Wierchu pod Fajki odpadła z ruchomym blokiem skalnym taterniczka z Ładka Zdroju. Upadając złamała rękę. Powiadomieni o wypadku ratownicy na miejsce wypadku polecili śmigłowcem Sokół. Po desancie w rejonie Żółtej Przełęczy ratownicy dotarli do rannej taterniczki. Po udzieleniu pierwszej pomocy, raną wyprowadzono na grań, skąd do szpitala zabrał ją śmigłowiec. Partner poszkodowanej został sprowadzony przez jednego z ratowników na Halę Gąsienicową.

20 lipca taternik z Zabrza Lucjan L. rozpoczął samotną wspinaczkę Filarem Kazalnicy. Noc spędził w ścianie i następnego dnia kontynuował wspinaczkę. W dniu **21 lipca** wieczorem, będąc w połowie Wielkiego Okapu, postanowił się wycofywać ze ściany zjazdami. Po około 20 m zjazdu próbował ściągnąć linę, ale lina się zaklinowała. Około godz. 20 przez telefon komórkowy wezwał pomoc. Nawiązano łączność telefoniczną z taternikiem. Okazało się, że jest w dobrej formie, ma sprzęt biwakowy. Udało mu się zjechać jeszcze w dogodniejsze miejsce, tak że mógł w miarę dobrych warunkach przebiwakować noc w ścianie. Podjęto decyzję, że TOPR podejmie akcję ratunkową wcześniej rano następnego dnia. Ratownicy mieli być wraz ze sprzętem przetransportowani śmigłowcem na Kazalnicy. Pogoda pokrzyżowała te plany. Silny wiatr uniemożliwił bezpieczne użycie śmigłowca. Ratownicy wynieśli sprzęt na Kazalnicy i stamtąd po zaporęczeniu zeszli na Siodelko w Filarze. Tam założono stanowisko dla zestawu alpejskiego i w ścianę opuszczono jednego z ratowników. Około godz. 11 ratownik dojechał do oczekującego na pomoc taternika, podpiął go do siebie i razem zjechali do podstawy ściany. Cały zjazd w zestawie Grammingera wy-

niósł około 340 m. Ratownicy wyciągnęli następnie linki zestawu na stanowisko zjazdowe i znieśli sprzęt do Morskiego Oka. Cała akcja ratunkowa trwała ponad 12 godzin i wzięło w niej udział 15-tu ratowników a całą akcją kierował Maciej Pawlikowski.

25 sierpnia o godz. 21.45 do Centrali TOPR zadzwonili dwaj taternicy informując, że podczas wycofywania się zjazdami wschodnią ścianą Miękusowieckiego Szczytu, w dolnych partiach ściany zaklinowała się im lina i nie są w stanie kontynuować zjazdu. Proszą o pomoc. Z Morskiego Oka pod ścianę wyruszył trzyosobowy zespół ratowników, celem nawiązania łączności i zlokalizowania taterników, którzy, jak sami przyznali, chcieli się wspinać na Świerzu, ale nieco pomylili drogę. Ratownicy nawiązali kontakt głosowy z taternikami i stwierdzili, że są oni pomiędzy drogą Mączki a Świerzem około 100 m nad podstawą ściany. Nocna próba dodarcia do taterników nie powiodła się. Rano ratownicy śmigłowcem zostali przewiezieni do Bandziocha, gdzie desantowali się w górnej jego części. Ratownicy trawersem doszli do taterników i rozpoczęli zjazd pod ścianę. O godz. 11-tej wszyscy dotarli do M. Oka. W wyprawie wzięło udział 13 ratowników.

26 sierpnia podczas treningu wycofywania się ze ściany drogą Gnojka na zachodniej ścianie Kościelca, zjeżdżający kursant wykonał wahadło, obsunął się kilka metrów i uderzając w skałę złamał rękę. Instruktor opuścił go do podstawy ściany i wezwał pomoc. Ratownicy z pokładu śmigłowca desantowali się w rejonie wyjścia z Załupy „H”. Po zaopatrzeniu ranego taternika, został on wraz z ratownikiem windą wciągnięty na pokład śmigłowca i przetransportowany do Zakopanego.

Bugaboos – wypadek z udziałem Polaka

Tragiczny wypadek miał miejsce w dniu 18 lipca br. w masywie Bugaboos w Kanadzie. Wg świadków wydarzenia dwójka wspinaczy David Ireland i Piotr Uziębło, obaj z Chicago, była na drugim wyciągu drogi *Lions Way* (II 5.6) na Eastpost (Crescent) Spire. Prawdopodobnie jeden z nich upuścił aparat cyfrowy, po który postanowili zjechać. Jako pierwszy zjeżdżał Uziębło. Starając się zmniejszyć obciążenie na (niezbyt pewne) stanowisko częściowo zszedł przy pomocy

liny, fragmentami zjeżdżał. Niestety stanowisko urwało się pod drugim z zespołu i Ireland spadł na pełną długość liny, odnosząc śmiertelne obrażenia. Zmarł na miejscu. David C. Ireland (1953-2005) był członkiem Chicago Mountaineering Club. Szczegółowy opis wypadku wraz z analizą będzie można znaleźć w ANAM (Accidents in North American Mountaineering) 2006.

Władysław Janowski

Piąta rocznica śmierci Andrzeja Zawady

Przed pięciu laty, 21 sierpnia 2000 r. zmarł Andrzej Zawada. W tę rocznicę „Taternik” chciałby przypomnieć Lidera – naszego Kolegę, taternika, alpinistę i światowej sławy himalaiste, postać niezwykle popularną



Lider i jego drużyna w bazie pod Everestem.

Fot. B. Jankowski

wśród rzesz młodych taterników i turystów górskich dzięki charyzmatycznej osobowości, poczuciu humoru i przyjaznemu stosunkowi do ludzi. Obdarzony osobistym urokiem, Andrzej był duszą towarzyskich spotkań i wodzirejem imprez, potrafił mówić na wszystkie tematy, był prawdziwym erudyta.

W roku 2005 obchodziliśmy również 25 rocznicą pierwszego zimowego wejścia na Everest przez wyprawę pod kierownictwem Zawady, a także 20 rocznicę zimowego zdobycia innego himalajskiego kolosa – Cho Oyu (8201 m), również przez członków wyprawy prowadzonej przez Andrzeja Zawadę.

Gdy jesienią 1972 członkowie Akademickiego Klubu Alpinistycznego Politechniki Warszawskiej zaproponowali mu objęcie kierownictwa I zimowej wyprawy w Hindukusz, i on wyraził zgodę, nikt jeszcze nie zdawał sobie sprawy z wagi tych decyzji. W trakcie tej wyprawy jako pierwszy człowiek, wraz z Tadeuszem Piotrowskim, przekroczył zimą wysokość 7000 m, zdobywając 13 lutego 1973 roku najwyższy szczyt Afganistanu – po doświadczeniach z Noszaka, Andrzej stał

się inicjatorem i światowym orędownikiem himalaizmu zimowego. Ceniony i szanowany w środowisku alpinistycznym dla swej fachowości, wielokrotnie kierował polskimi i międzynarodowymi wyprawami w Himalaje i Karakorum. W 1974 roku prowadził jesienno-zimową wyprawę na Lhotse (8501 m) i wraz z Zygmuntem Heinrichem jako pierwszy człowiek przekroczył zimą magiczną granicę 8000 m, spędzając na tej wysokości noc wigilijną i 25 grudnia osiągając punkt 8250 m. Choć do wierzchołka Lhotse zabrakło 250 m, Andrzej nigdy nie uważał tej wyprawy za porażkę. Odtąd wiedział już, że zimowy podbój ośmiotysięczników jest możliwy, i że przed polskim himalaizmem pojawia się szansa nadrobienia zaległości z czasów zamkniętych granic i dewizowych niemożności.

Na koniec pozwolę sobie na parę osobistych refleksji. Był okres, kiedy uważano Andrzeja i mnie za rywali. W tym określeniu było coś z prawdy, gdyż rzeczywiście spierałiśmy się o programy i kierunki ekspansji polskiego himalaizmu, choć w nas obu grała taka sama żyłka sportowa. Nigdy jednak ta rywalizacja nie przekroczyła pewnych granic, zawsze oparta była na wzajemnym szacunku, często też współpracowaliśmy ze sobą, przygotowując różne wydawnictwa i materiały. Już nie pamiętam ile wieczorów spędziłem w gościnnym domu Anny i Andrzeja przy Rondzie Waszyngtona, czy razem z Andrzejem u doktora SAYSSE-Tobiczyka, poprawiając, konsultując czy pisząc fragmenty rozdziałów do kolejnych tomów „W Skalach i Lodach Świata”.

Następne lata pokazały, że lansowana przez Andrzeja koncepcja himalaizmu zimowego, była słuszna. Już wkrótce nadeszło pasmo sukcesów prowadzonych przez Niego wypraw, które dały mu wyjątkową pozycję w historii himalaizmu.



Czerwiec 2000 r. - Andrzej Zawada po raz ostatni na spotkaniu seniorów w Morskim Oku.

Fot. J. Kurczab

Janusz Kurczab

Kazimierz Głazek (1939 – 2005)

Jeszcze niedawno pozdrawiał nas z Uralu, z granicy – jak napisał – Europy i Azji. Nie przeczuwał, a tym bardziej my, że zbliża się do innej, ważniejszej dla siebie granicy: tej, za którą nie ma już ani Europy, ani Azji. I nagle e-mail od jego wspinaczkowego partnera i przyjaciela z KW we Wrocławiu, Bogdana Jankowskiego: „25 września podczas wycieczki do Tunezji Kazimierz Głazek zmarł w hotelowym basenie kąpielowym”. Miał 66 lat. Bardzo wczesnie zamknęło się życie – intensywne, pracowite i mocno wpisane w góry. Urodził się 20 lutego 1939 roku w Warszawie. W r. 1957 ukończył gimnazjum we Wrocławiu, w latach 1957-62 studiował na Uniwersytecie Wrocławskim nauki matematyczne, które później – od r.1969 jako doktor, a od 1992 jako doktor habilitowany i profesor – wykładał na wyższych uczelniach w kraju i za granicą (przez jeden z ostatnich sezonów akademickich pracował w Islamabadzie). Jak wspomina jego bratanek Grzegorz Głazek, był namiętnym szachistą, w młodości na poziomie zawodniczym (najwyższe pozycje w mistrzostwach Polski juniorów, I kategoria zawodnicza, wielokrotnie mistrzostwo Uniwersytetu Wrocławskiego).

Wspinał się od r. 1957, najpierw w Sokolikach i Karkonoszach, potem bardzo intensywnie w Tatrach. Na ścianach Tatr seriami powtarzał najtrudniejsze drogi, w ciągu 15 lat dorobił się 10 nowych dróg i 7 pierwszych przejść zimowych.

Wiele lat temu poprosiliśmy go o wykaz jego najciekawszych przejść tatrzańskich. Wybrał następujące:

Kazalnica Mieguszowiecka – filar (1963), droga Momatiuka (1965), droga Chrobaka (1965, II przejście), droga Pająków (1972, I przejście zimowe). Galeria Gankowa – droga Studnički (1963, II polskie przejście). Ganek wschodnią ścianą (1971, V przejście zimowe, z nowymi wariantami). Mnich droga Gryczyńskiego (1964, I przejście zimowe), Wariant R (zimą 1964). Pośrednia Grań direttissima północno-wschodniej ściany (1970, I polskie przejście). Łomnica – Hokejka (1970). Liptowska Turnia środkiem południowo-wschodniej ściany (1968, nowa droga); wschodnim filarem (1969, nowa droga). Mała Wysoka droga Kroutila (zimą 1961). Mieguszowiecki Szczyt direttissima północnej ściany (zimą 1963). Cubryna ścianą północno-zachodnią (zimą 1973, nową drogą). Koprowy Wierch prawą depresją północnej ściany (zimą 1966, nowa droga).

W tym czasie interesowały go też jaskinie (był młodszym bratem znanego speleologa, prof. Jerzego Głazka) – wraz z kolegami z Sekcji Jaskiniowej AKT uczestniczył m.in. w eksploracji Jaskini Czarnej (za tzw. Kominem Węgierskim).

W roku 1964 wraz z niżej podpisanym wyjechał po raz pierwszy na zachód – w Alpy Austriackie, w lodowcowe Alpy Stubajskie i w skalny Wilder Kaiser. Nieoczekiwanym efektem tego wyjazdu były wspólne półroczne tarapaty z panami z... kontrwywiadu. W latach 1966 i 67 następowały wyjazdy w rejon Mont Blanc i do Szwajcarii (m.in. północno-wschodni filar Finsteraarhornu z własnym wariantem), w 1973 w Kaukaz (Żaba na Piku Szczurowskiego), w 1974 w góry Norwegii (udział w pierwszym przejściu zimowym drogi francuskiej na Trollveggen). W 1978 rozwiązywał problemy na trudnych ścianach Tuolpagorni w Szwecji.

Jednak największe sukcesy czekały go w wielkich górach Azji Centralnej. Do historii eksploracji Hindukuszu dopisał się latem 1971 r., dokonując pierwszych wejść na szczyty Aspe Syah (6350 m, trudną pn.-wsch. grzędą, w stylu alpejskim) oraz Shahe Kalan (5880 m), ten drugi przypuszczalnie najwyższy w Zebaku. W roku 1969 była owocna wyprawa w wówczas niemal dziewiczy i światu nieznany Pamiro-Ałaj. Jeden po drugim padały niezdobyte i w większości bezimienne szczyty: Śnieżny, Warszawa, Maryla, Hanka, 25-lecia PRL i najwyższy w całości tych górach, dumny i trudny Pik Skalisty (5621 m, szczyt 12 sierpnia). Bogdan Jankowski stwierdza ze smutkiem, że z piątki zdobywców Skalistego przy życiu pozostał już tylko on jeden: wcześniej odeszli tragicznie Tadeusz Piotrowski, Krzysztof Cielecki i Bernard Uchmański. W latach 1972 i 1974 wchodził dwukrotnie (różnymi drogami) na najwyższy szczyt ZSRR, Pik Kommunizmu (7483 m). Ale nazwisko Kazimierza Głazka znalazło się też na honorowej liście pierwszych ludzi na szczytach 8-tysięcznych. Trzydzieści lat temu, 28 lipca 1975 r., w zespole wyprawy wrocławskiej dokonał wejścia na wcześniej niezdobyte Broad Peak Central (8011 m) w Karakorum, uważany



przez ekspertów za najlepiej wyodrębniony i najbardziej samodzielny z tzw. bocznych ośmiotysięczników. Niestety, z pięciu zdobywców do bazy powróciło tylko dwóch. Dramat ten odcisnął się na jego psychice, mimo to wspinał się dalej. Już w następnym roku uczestniczył w prestiżowej wyprawie na K2, na nowej drodze osiągając wysokość ok. 8100 m. W latach 1985 i 1986 był członkiem wypraw na Himalchuli (7893 m) i Nanga Parbat (8125 m). W 1981 działał w Górach Skalistych (nowa droga północno-wschodnią ścianą Mount Douglas, 3406 m), w 1987 w Andach Peruwiańskich.

Sylwetkę naukową Kazimierza Głazka przybliża nam jego przyjaciel i kolega-matematyk, Wojciech Dzik: Po wielu latach pracy naukowej i dydaktycznej we Wrocławiu, przez ostatnie 12 lat był profesorem Uniwersytetu Zielonogórskiego. Był cenionym specjalistą w zakresie algebry ogólnej, autorem kilkudziesięciu prac, książek i monografii (główna monografia dotyczyła algebraicznego pojęcia niezależności). Stworzył i prowadził cenione czasopismo naukowe o światowym zasię-

gu „Discusiones Mathematicae – General Algebra and Applicationes”.

W ostatnich kilkunastu latach dużo podróżował, zapraszany na międzynarodowe konferencje algebraiczne. Przy okazji takich zjazdów były też spotkania z górami – często we dwóch z Wojciechem Dzikim. O swoich wspinaczkach sporo pisywał – tak w czasopismach krajowych (głównie „Taterniku”), jak i za granicą. Jego ostatnią i dotąd nie drukowaną pracą popularną był esej „Algebra i góry”. Współ z Władysławem Janowskim opracował przewodnik „Skalki wzgórza Sokolik”, wydany w r. 1994 z ilustracjami Wojciecha Wajdy. Obszerne hasło ma w Wielkiej Encyklopedii Tatrzańskiej, znaleźć go też można w naukowych encyklopediach zagranicznych. Zdradził się kiedyś, że ma w głowie plan książki o górach – swojego „Komina Pokutników”. Czekał na emeryturę – niestety, nie zdążył. Nie on jeden. Spoczął we Wrocławiu, gdzie spędził większość życia. Żegnaj przyjacielu – jesteś już razem ze swoimi druhami ze Skalistego i z Broad Peaka...

Józef Nyka

Józef Olszewski (1939 - 2004)

Józek Olszewski był zakopiańczykiem od urodzenia. Góry wypełniały prawie całe jego życie, od wczesnej młodości aż po ostatnie lata. Taternictwo zaczął uprawiać już w szkole średniej. W wieku 19 lat został przyjęty do Koła Zakopiańskiego Klubu Wysokogórskiego i już po roku został członkiem zarządu. Jego pierwszym górskim sukcesem było przejście głównej grani Tatr, bez ominięcia szczytów w 1960 roku, którego dokonał w zespole razem z Marianem Kruczkim, Stanisławem Obrochtą i Henrykiem Szotem. Na grań powrócił jeszcze raz po kilkunastu latach, tym razem zimą, w okresie swoich najlepszych lat wspinaczkowych. W styczniu 1978 roku razem z Piotrem Malinowskim i Krzysztofem Żurkiem dokonali IV przejścia zimowego, ale było to przejście najkrótsze, bo trwało zaledwie 10 dni, bez grupy wspierającej i bez wcześniejszego zakładania składów żywnościowych. Zanim po raz pierwszy wyjechał w góry wyższe od Tatr, wiele wspiął się w Tatrach Polskich i Słowackich latem, a przede wszystkim zimą, uczestnicząc często w pierwszych przejściach. Z nowych tatrzańskich dróg warto może wymienić: Małą Kapalkową Turnię południowym filarem, Zielony Jaworowy Wierch północno-wschodnią granią, Skrajną Sobkową Szczerbinę północnym żlebem, Małą Szarpaną Turnię lewą częścią południowo-wschodniej

ściany, czy też pierwsze zimowe przejście środka północnej ściany Kieżmarskiej Kopy. W latach 60 i 70 był kilkakrotnie typowany przez zarząd Koła Zakopiańskiego KW na wyjazdy zagraniczne, ale rzadko dawa-



no mu szansę takiego wyjazdu. Od roku 1967 związał się z Polskim Klubem Górskim i zaczął wyjeżdżać w Kaukaz i góry wysokie. Dawał z siebie wszystko w czasie transportu i zakładania obozów, jednak kiedy dochodziło do decydującego ataku szczytowego, to barierą dla niego była wysokość około 7500 m. Dlatego poza swoim rekordem wysokościowym około 7600 m na stokach Kangchendzongi i wejściem na Noszak (7492m), na którego wierzchołku stanął w 1976 roku, nie wszedł na żaden wyższy szczyt. Jednak dokonań w Kaukazie, Pamirze i Andach może mu pozazdrościć niejeden alpinista.

W Kaukazie Centralnym wspiął się w latach 1967, 1969, 1970 dokonując przejść kilkunastu

interesujących dróg, wśród których warto wymienić: Elbrus (5633m) – I polskie trawersowanie od Prijutu 11 do przełęczy Chotio-tau i Nakra-tau (4277m) – II polskie przejście drogi Abalakowa na północnej ścianie, również z PKG zdobywał w 1970 roku szczyty w Pamirze. Dokonał tam trawersowania trzech niezdobitych sześciotysięczników: Warszawa (6042m) – Poronin (6205m) i Tatry (6142m). Wszedł na Pik Pietrowskiego (4700m) północno-wschodnią granią oraz na Pik 900 lat Mińska (4778m), a także po raz pierwszy na siedmiotysięcznik – Pik Lenina (7134m). Dwa lata później był ponownie w Pamirze, gdzie wszedł na następne dwa siedmiotysięczniki – Pik Korzeniewskiej (7005m) i Pik Komunizmu (7484m).

W czasie zakopiańskiej wyprawie w Himdukusz w 1976 roku, dokonał trawersowania Kisznichana (6750 m), a następnie wszedł na Noszak (7492 m). Swoją przygodę z Himalajami rozpoczął w 1974 roku jako uczestnik wyprawy PKG na Kangbachen (7902 m). Zachorował wtedy w obozie IV i musiał zrezygnować z ataku szczytowego. W 1978 roku pojechał znowu w Himalaje, tym razem na Kangchenjunge. Zdobyto wówczas dwa niższe wierzchołki – Kangchenjunge Południową (8476m) i Kangchenjunge Środkową (8482m). Sytuacja powtórzyła się – Józek pracował na niższych wysokościach, wyróżnił się też w akcjach przygotowujących atak szczytowy, ale

w nim nie uczestniczył. W roku 1980 wyjechał w Andy Kolumbijskie i Ekwadorskie, gdzie m.in. dokonał wejść na Chimborazo (6310m) i Cotopaxi (5897m). Był to jego ostatni wyjazd w wyższe góry świata. Towarzyszył też Jurkowi Hajdukiewiczowi w wyjazdach alpejskich. Wraz z nim wszedł na 13 czterotysięczników.

Od lat 70. Tatry były jego miejscem pracy i szkolenia nowych kadr przewodnickich. Uprawnienia przewodnika tatrzańskiego III klasy uzyskał już w 1967 roku, a I klasy w 1975 roku. Przewodnictwem zarabiał na wyjazdy zagraniczne, a w latach późniejszych również na utrzymanie rodziny. W 1967 roku został ratownikiem tatrzańskim, pełnił dyżury ratownicze zimą i latem a w miarę wolnego czasu uczestniczył też w wyprawach ratunkowych. W ostatnich latach został członkiem Klubu Seniora TOPR. Posiadał również uprawnienia instruktora narciarskiego i jeszcze poprzedniej zimy i szkolił amatorów narciarstwa pod Nosalem. Kiedy zaczęły się problemy z chodzeniem, trudno mu było się pogodzić z faktem, że góry są coraz wyższe i trudniejsze, a nie widział dla siebie dalszej perspektywy bez gór, dlatego zdecydował się na zabieg, który mógł mu przedłużyć obcowanie z górami. Zmarł w szpitalu w Krakowie 29 listopada 2004 roku w wieku 65 lat.

Apoloniusz Rajwa

Zygmunt Janas „Kuba” (1930-2005)

28 czerwca 2005r., na małym wiejskim cmentarzyku w miejscowości Hrusice, 30 km od Pragi, żegnałem naszego górskiego kolegę Zygmunta Janasa z Katowickiego Klubu Wysokogórskiego. Z zawodu był architektem, studiował na Politechnice Krakowskiej, kurs wspinaczkowy w skałkach podkrakowskich ukończył w 1952 roku. Wspinał się aktywnie w Tatrach polskich i słowackich (przeważnie nielegalnie) w latach 50-tych i 60-tych. Jego partnerami byli m.in.: E. Rozwadowski, J. Rudnicki, A. Górka, J. Stryczyński, H. Dembiński, T. Sumień, M. Ziętkiewicz, J. Chalecki, J. Nyka, A. Bonarski.

Jego skrupulatnie prowadzony wykaz wejść zawiera ok. 100 pozycji, dróg letnich i zimowych o skali trudności od II do VI. Ważniejsze drogi to: pn.-wsch. filar Wielkiej Teriańskiej Turni (nowa droga, 27-28 III 1958, J. Rudnicki); Mały Kieżmarski Szczyt pn. ścianą (tzw. Veberovka, IX.1958, E. Rozwadowski); Grań

Apostolów (IX.1955, H. Dembiński); Niżnie Rysy pn.-zach. ścianą (III.1960, M. Ziętkiewicz, E. Rozwadowski, J. Hierzyk); Mięguszowiecki Szczyt pn.-wsch. filarem (IX.1959, J. Stryczyński); Gerlach pd.-zach. ścianą (IX.1958, M. Ziętkiewicz); szereg dróg na pd. ścianie Zamarłej Turni (IX.1958, M. Ziętkiewicz).

Uczestniczył w wielu obozach organizowanych przez KW Katowice w Tatrach Słowackich a także w Alpach Julijskich; te ostatnie dawały wówczas możliwość „zahaczenia” o Alpy austriackie. Przeszedł szereg dróg na północnej ścianie Triglavu (E. Graffstein, M. Ziętkiewicz, sierpień 1962) oraz w Wysokich Taurach w rejonie Grossglockner (W. Bleszyńska-Lącka).



Do połowy lat 60-tych mieszkał w Katowicach, pracował jako architekt w Miastoprojekcie, brał czynny udział w życiu klubowym, kilkakrotnie uczestniczył też w szkoleniu alpinistycznym dywizji powietrzno desantowej.

W połowie lat 60-tych przeniósł się do Pragi, pracował nadal jako architekt, projektował szereg budynków mieszkalnych, szkoły. Ale jego pasją stała się architektura terenów zielonych, którą uprawiał „na żywo” w dużym ogrodzie-parku, w posiadłości swej żony, w malowniczej miejscowości Senohraby pod Pragę. Uczestniczył w życiu praskiej Polonii, po upadku komunizmu był częstym gościem polskiej ambasady w Pradze. Postępująca

choroba serca i układu krążenia praktycznie wyłączyła go z działalności wspinaczkowej, jednak do końca życia czuł się związany z górami. W ostatnich latach uczestniczył w spotkaniach seniorów w Morskim Oku. Do końca życia intensywnie jeździł na nartach. Co roku ze swą żoną Marią jechał na narty na dłuższy pobyt w Alpy Francuskie; z rejonu Mont Blanc przywoził kolekcje pięknych zdjęć. W ostatnich latach pisał wiersze, w których motywem było życie i jego przemijanie. Odszedł dobrą śmiercią, zmarł nagle podczas zajęć w swym pięknym ogrodzie w Senohrabach.

Maciej Bernatt

Janusz Porożyński (1973 – 2005)

To było latem zeszłego roku, na południowo-wschodniej ścianie Zamarłej Turni. Przeszedłszy pierwszy wyciąg nowej drogi uznałem, że *clue* programu jest już za nami. Kolejny wyciąg prowadził prościutko na niewinnie wyglądające zacięcie.

„No, to napieraj, tylko wbij coś porządnego, tam, na początku” – powiedziałem do Janusza wskazując podstawę zaciątka.

Janusz ruszył. Posłusznie grzmotnął żelazo pod kluczowym miejscem poczym śmiało natarł w górę. Wyglądało, że poszło mu łatwo – sięgnął do wysokiego podchwytu, wyciągnął się z niego i już był w połowie ścianki.

„Załóż coś” – krzyknąłem, ale on jakby nie słyszał. Pokonał kolejne dwa metry i stanął w miejscu wyglądającym na zupełnie łatwe.

„Jezu, nie mam asekuracji” – stęknął, a był w tym momencie dobre 5 metrów nad hakiem. Pod nim, rozpościerała się niedbale szeroka, bardzo twarda pōła. Najwyraźniej widok ten nie poprawił mu humoru, bo nogi wpadły mu w ten jakże charakterystyczny dygot.

„Niedobrze, oj niedobrze” – pomyślałem ze zgroza, uświadomiwszy sobie, że najwyraźniej łatwo nie jest.

Janusz tymczasem wetknął „coś w nic”, szybkim, nerwowym ruchem wpiął linę i rzucił się w górę. Wykonał jeszcze dwa przechwyty i nagle jego ciało nabrało dobrze znanego „luzu”.

„Oooo!” – sapnął z ulgą – „już po strachu! Mam klamy!”

Idąc za nim z podziwem oglądałem pokonywany przez niego teren. Sakramencko trudny, lekko przewieszony start, a potem charakterystyczna płytką z mikropeknięciami. Włożony przez Niego

friend wypadł, gdy tylko poruszyłem liną. Z trudem wpaśowałem się w zacięcie, zmarniętymi palcami obłapiając nikiel krawędki. Słabłem.

„Wyyyyyyberz!!!” – zawylem.

Lina naprężyła się, a ja z ulgą powierzyłem jej swój ciężar. Ale co to?!

Spadam!!! Wpiłem się ponownie w skałę, niemal wypadając z zaciątka.

„Wyyyyyyyyyyberz, ku.....!!!!” – lina znów podskoczyła, ja ją znów obciążylem, i też znów podążyłem w dół.

„Kuuu...a BLOK!!!!

„To mów, że chcesz blok” – usłyszałem zdziwiony głos śmiesznie blisko mnie – „a nie tylko wybierz i wybierz....”

Janusz był nie tylko solidnym wspinaczem, ale i człowiekiem pełnym osobistego uroku, zawsze w centrum towarzystwa, lubiącym spotkania, wspólne wyjazdy. To on był pomysłodawcą i współorganizatorem *Pikniku Drajtulowego* na podwarszawskich bunkrach. Pomagał przy wydawaniu *A/Zero*, a w zarządzie klubu objął stanowisko skarbnika. Janusz nie był jednak działaczem-teoretykiem, nigdy nie zabrakło go na klubowych obozach, na których kolejno zdobywał coraz więcej doświadczenia. Razem z Pawłem Przybyszem pokonywali coraz dłuższe,



coraz trudniejsze drogi. 3 lata temu w Moku, złapali biwak, bo zabalaganili na *Świerzu* i nie znaleźli w ciemności zejścia. Bardzo się wtedy denerwowałem, aż w końcu rano przyszedł wyczekiwany sms: „Żyjemy. Schodzimy po kiblu na MSW”. Stopniowo sięgali po trudniejsze cele, odhaczając zimą pierwszy wyciąg *Orla* z *Epiru* na Kotle – jak się potem okazało, najtrudniejszy na drodze (M6+). W końcu uznali, że nadszedł czas na marzenie – na *Filar Frêne*y.

Przygotowali się solidnie, poznali literaturę, wypyтали bywalców. Przetestowali biwak w okropnej pogodzie na Lewym Filarze Rumanowego, spędzając noc w totalnym opadzie. Cały czas Janusz był motorem, dobry humor i wiara w sukces nie opuszczały go ani na chwilę.

Ściągało Go jednak to samo przekleństwo, które nęka większość z nas – praca, obowiązki, wieczny brak czasu. Na Alpy zdołał wygospodarować tylko 9 dni, nie było więc mowy o aklimatyzacji. Wspólnie z Pawłem świadomie podjęli ryzyko, zapatrując się na kilkudniowe wyjście.

Plan realizowali z matematyczną precyzją – dojście do *Eccles*, rekonesans, biwak na Col de Peuterey, wejście w drogę i biwak pod *Świecznikiem*. Nie powstrzymało ich nawet to, że w dole pomylili drogę i dwa wyciągi przeszli drogą Laffaille'a. Gdy Pawła ogarnęły wątpliwości, Janusz z miejsca je rozwiął. Z mniejszym plecakiem, prowadził cały pierwszy dzień. Był w swoim żywiole, słał z biwaku tchnące radością sms-y: „Kiblujemy pod *Świecznikiem*. Jutro pik i do domu”. Podziwialiśmy ich, choć bardzo też się martwiliśmy. Wydawało się jednak, że mają szczęście – trwała dobra pogoda, główne niebezpieczeństwa mieli już za sobą. Sukces był w zasięgu ręki.

Nie wiedzieliśmy, że następnego dnia zepsuje im się maszynka. Zaczęły też dawać o sobie braki w aklimatyzacji. Poruszali się coraz wol-

niej, jednak wieczorem kolejnego dnia byli już pod wierzchołkiem Mont Blanc de Courmayeur. Tam Janusz uznał, że ma dosyć, i choć Paweł namawiał go do pójścia do Vallota, nie chciał już ryzykować. Pomimo tego, że w moim sms-ie przekonywałem go, że „do Vallotta jest 2 godziny i łatwo” – postanowił wezwać pomoc.

Ta jednak nie nadleciała, jak podano – z powodu zbyt późnej pory. Tymczasem zmrok nadszedł dopiero ponad pół godziny później. Francuzi odesłali ich do Włochów („piloci poszli już do domu”) a ci kazali im czekać do rana.

Kolejna noc na wysokości nie dodała im sił, ale spakowani, o świcie czekali na zbawczy helikopter. Przyleciał punktualnie, zatoczył nad nimi krąg, a potem z kabiny wychylił się ratownik i gestem dłoni nakazał im przejść na plateau, 100 m wyżej. Ruszyli więc niecierpliwie, pierwszy Paweł, za nim Janusz. Po kilku metrach weszli na wyłudzony stok. Jeden nieuważny krok...

Nagle śmigło pomknęło w dół. Paweł, który nic nie widział, został na 3 godziny sam ze swymi myślami i najgorszymi obawami. Potężna ściana Miage, spływająca w dół zrazu łagodnie, potem stromymi żlebami, nie pozostawiała mu złudzeń, co do losu partnera...

Już po kilku godzinach wiedzieliśmy i my. Wszyscy szykowaliśmy już fetę dla pogromców *Frêne*ya, gdy nagle jedna wiadomość zgasiła wszelką radość. Otumanieni, zdrętwiali ze zgrozy, nie mogliśmy w to uwierzyć.

Janusz spadł. Nie żyje. To koniec. Nic już tego nie zmieni.

Pozostało po Nim wspomnienie najlepszego kolegi, o którym nigdy nie zapomnimy. A w Tatrach Jego droga, *Łabędzi Puch*, z kluczowym *Zacięciem Porożyńskiego*.

Pomyślcie o Januszu, gdy będziecie nim szli.

Artur Paszczak

Tadeusz Wojtera (1926 2005)

Dotarła do nas smutna wiadomość – zmarł Tadek Wojtera. Uprawiał taternictwo, alpinizm, speleologię. W r. 1949 wstąpił do PTT, latem 1951 ukończył kurs wspinaczkowy nad Morskim Okiem i w tym samym roku został członkiem Klubu Wysokogórskiego w Katowicach. Na przełomie lat 1961–62 był uczestnikiem ekspedycji na Kubę do jaskiń Wielkich Antyli. Na Spitsbergenie w 1965 r. dokonał 12 wejść na dziewicze szczyty. W 1966 był członkiem wyprawy do ówczesnej najgłębszej jaskini świata, Gouffre Berger we

Francji. W 1972 kierował wyprawą do Maroka w Atlas Centralny. Jej celem było pierwsze całkowite przejście grani głównej Atlasu. W 1975 roku znów kierował wyprawą do Afryki. Tym razem plan przewidywał pierwsze i całkowite przejście głównej grani gór Ruwenzori. Tadek wszedł tam solo na najwyż-



sze punkty tego masywu: Szczyty Aleksandry, Alberta i Edwarda – wszystkie przekraczające 5000 metrów. Bywał w Alpach Francuskich, gdzie m.in. wszedł na Mont Blanc, w Pirenejach, w Kaukazie, w górach Aladag w Turcji. W r. 1999 w 50. rocznicę istnienia KW w Katowicach otrzymał tytuł członka honorowego tego Klubu, w którego rozwój włożył wiele pracy. W uznaniu zasług za działalność górską i sportową we wrześniu 2003 otrzymał medal i dyplom w 100. rocznicę utworzenia pierwszej polskiej organizacji taternickiej.

Urodzony 15 czerwca 1926 r., z zawodu był bankowcem. Przez wiele lat pracował w banku, przez 10 lat był wykładowcą w Międzynarodowej Szkole Bankowości i Finansów w Katowicach (1990–2000), kończąc tym samym działalność zawodową. Wydał dwie książki z dziedziny banknotów, zabezpieczeń oraz fałszerstw i sposobów rozpoznawania fałszywych pieniędzy. Pierwsza

książka „Waluty krajów Europy” ukazała się w r. 1995, druga – „Wybrane waluty Europy i Świata” – w 2000. Wydał również dwa zbiory relacji i opowiadań górskich: „Dotyk szorstkiej skały” w 1995 r. oraz „W cieniu wielkich gór” w 2004 roku. Był wielkim miłośnikiem zwierząt, toteż jego ostatnią wydaną za życia publikacją był zbiór krótkich opowiadań pt. „My zwierzęta z Planety Ziemia” (2005). Na tematy wysokogórskie pisywał w gazetach, sprawozdania z wypraw i wspomnienia zamieszczał m.in. w „Taterniku i „Górach i Alpinizmie”. Przygotowana pod jego redakcją książka pt. „Wielkie dramaty górskie” ukaże się wkrótce nakładem Wydawnictwa GiA. Pięćset stron, liczne fotografie i relacje świadków tragedii górskich. Zmarł 10 września 2005 r. – w cztery dni później pochowaliśmy go w rodzinnych Siemianowicach Śląskich.

Aleksander Lwow

Lucien Bérardini (1930 – 2005)

12 października 2005 r. w paryskim szpitalu zmarł po ciężkiej chorobie słynny alpinista francuski lat pięćdziesiątych, rysownik z zawodu, Lucien Bérardini. „Postać niezwykle barwna, kipiąca witalnością, człowiek znany z talentów wspinaczkowych ale także jako pełen pomysłów kpiarz i kawalarz” – pisał o nim „Vertical” w swoim setnym numerze. Urodził się w r. 1930, spotkania ze skałą zaczął jako 12-latek, robiąc wejścia w Fontainebleau, gdzie wspiął się aż po ostatnie lata życia. Światową sławę osiągnął w r. 1952 jako członek czwórki, która rozwiązała problem 900-metrowej zachodniej ściany Petit Dru, drogą uważaną za jeden z kamieni miłowych alpinizmu (polskie powtórzenie latem 1957 r.). Robił liczne wczesne powtórzenia wielkich dróg alpejskich, takich jak Filar Walkera (1952 – pierwsze przejście jednodniowe), wschodnia ściana Grand Capucin (1953), południowa ściana Torre Trieste (1958), Filar Bonattiego na Petit Dru (1961), północno-zachodnia ściana Cima Su Alto (1961), direttissima Torre Grande di Lavaredo (1961). Ma też w dorobku serię pierwszych wejść w Vercors i w masywie Mont Blanc (w tym północną ścianę Grand Capucin, 1956). Oprócz Alp, były oczywiście góry świata. W r. 1954 wraz z pięcioma alpejskimi przyjaciółmi dokonał pionierskiego przejścia południowej ściany Aconcagua – oprócz niego zespół tworzyli: Adrien Dagory, Guy Poulet, Robert Paragot, Edmond Denis i Pierre Leseur. Na ich drodze pierwszą Polką i pierwszą Europejką była w r. 1986 Wanda Rutkiewicz. W

r. 1966 wraz z Paragotem i pięcioma innymi kolegami rozwiązał głośny problem północnej ściany Huascaranu. W r. 1971 należał do najaktywniejszych wspinaczy wyprawy na zachodni filar Makalu, gdzie nadto zrealizował nagradzany 40-minutowy film „Makalu Pilier Ouest 1971”. Bérardini był też działaczem organizacyjnym, przez kilka lat prezesem FFME. Jako zapalony skałkowiec i jeden z pionierów bulderingu („bloqueur”), kibicował zawodom wspinaczkowym, uczestniczył też w imprezach sportowych – jako wspinacz-legenda, wręczając młodym zwycięzcom nagrody i puchary. Przez 20 lat tworzył ambitną dwójkę z Robertem Paragotem, o czym obaj opowiedzieli w książce „Vingt ans de corde” (Flammarion 1974, z przedmową Lucien Deviesa). Ukochaną Aconcagua odwiedził jeszcze w r. 1997 mając lat 67. Wśród pamiątek w schronisku na Plaza de Mulas są damskie majtki, na których „Lulu Bérardini” wypisał daty swoich wejść na ten szczyt: *24 II 1954 Face Sud; 25 I 1995 v. normale; 22 I 1997 v. normale*. Ale kochany Lulu – jak długo można żartować?

19 października – pochowano go na cmentarzu w Chamonix, na którym znalazło spójny wieczny tyłu jego partnerów i przyjaciół.

Józef Nyka



CONTENTS

From the Editor.....	1
The Summer 2005 in the Polish Tatra & environs (A. Paszczak).....	2
The negotiations between the Polish Mountaineering Association and the Tatra National Park.....	9
The Polish Summer 2005 in the Alps (J. Radziejowski).....	11
Three weeks in the Paron Valley (B. Kowalski).....	14
Polish Annapurna South Face Expedition (P. Morawski).....	19
Old Spice Mount Everest Expedition 2005 (M. Miotk).....	23
The Polish High Mountains Activity 2005.....	27
The Golden Ice Axe Award nominees?.....	30
Polish cavers in the Krubera Cave (P. Pilecki).....	32
The Accident in the Gollum's Cave (W.W. Wiśniewski).....	38
Sport climbing (A. Kamiński).....	39
Miscellaneous.....	43
Book Reviews.....	50
Climbing Accidents in the Tatra Mountains (A. Marasek).....	52
The Accident in the Bugaboos (W. Janowski).....	52
Andrzej Zawada's Death 5 th Anniversary (J. Kurczab).....	53
Obituaries.....	54

ANTYKWARIAT GÓRSKI „FILAR” H. Rączka
Alabastrowa 98, 25-753 KIELCE
tel. 0413456219, 0502397162
Adres e-mail: filar@antykwareiat-filar.pl
Oferta Internet: www.antykwareiat-filar.pl

Magazyn informacyjny Polskiego Związku Alpinizmu

Ukazuje się od 1907 roku
Nr 3-4 (307-308) Rok 79 ISSN 0137-8155
kwartalnik (nakład 1300 egz.)

Redaktor naczelny

Janusz Kurczab
ul. Podskarbińska 7 m. 48, 03-834 Warszawa
tel.: +22 409 32 40 / fax: +22 813 22 05
e-mail: kurczab@o2.pl

Redakcja działu jaskiniowego

Wojciech W. Wiśniewski
ul. Św. Bronisławy 18 m. 1, 30-203 Kraków
tel. + 12 427 13 11,
e-mail: taternik.speleo@wp.pl

Opracowanie graficzne, skład i druk

Zakład poligraficzny DRUK-POL
ul. Mińska 25, 03-808 Warszawa
tel./fax: + 22 813 43 25
www.druk-pol.com.pl

Współpracownicy

Małgorzata Fromenty (Francja),
Grzegorz Głazek, Bogdan Jankowski,
Władysław Janowski (USA), Arkadiusz Kamiński,
Małgorzata i Jan Kielkowscy (Niemcy),
Krystyna Konopka (USA), Adam Marasek,
Józef Nyka, Artur Paszczak, Jakub Radziejowski,
Apoloniusz Rajwa, Andrzej Skłodowski, Andrzej
Sławiński (Kanada), Wojciech Święcicki

Wydawca

Polski Związek Alpinizmu
ul. Noakowskiego 10/12, 00-666 Warszawa
+ 22 875 85 05
e-mail: biuro@pza.org.pl / www.pza.org.pl

Dystrybucja

Polski Związek Alpinizmu i Pol Perfect sp. z o.o.

Punkty sprzedaży:

Salony EMPiK
oraz patrz ramki obok
Wydanie internetowe:
www.taternik.e-tatry.pl

Prawa do tytułu „Taternik” posiada Polski Związek Alpinizmu. Prawa autorskie do publikowanych w „Taterniku” tekstów, zdjęć, rysunków i reklam są zastrzeżone. Przedruki są możliwe wyłącznie za pisemną zgodą redaktora naczelnego i pod warunkiem powołania się na źródło.

SKLEP PODRÓŻNIKA

WARSZAWA

tel. (0-22) 658 46 26
fax (0-22) 822 44 56
ul. Grojecka 46/50, tel. (022) 668 66 08
ul. Kaliska 8/10, K1 tel. (022) 822 64 81
ul. Kaliska 8/10, K2 tel. (022) 822 54 87

e-mail: spw@rubikon.pl

www.traveler.com.pl

KRAKÓW

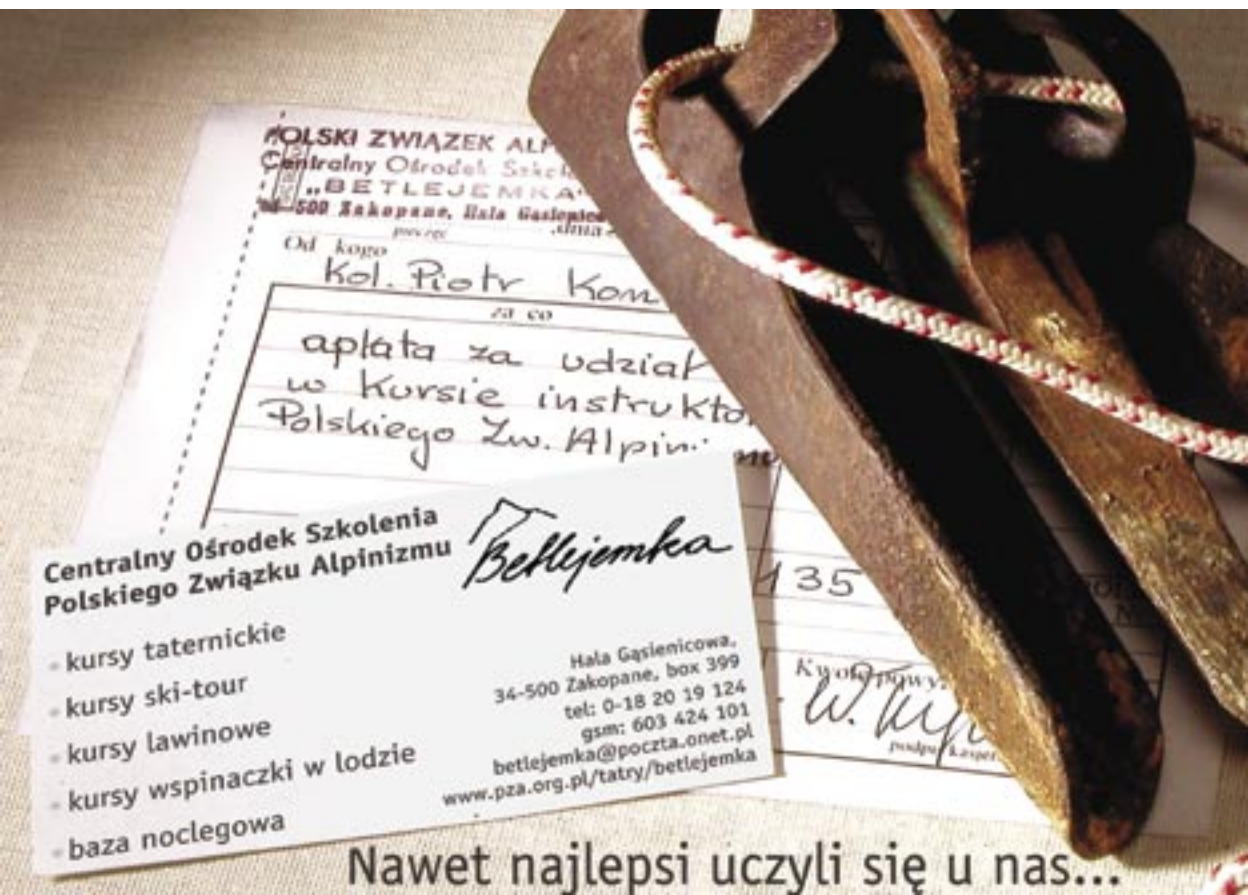
ul. Szujskiego 2
tel. (012) 421 89 22
ul. Jagiellońska 6
tel. (012) 429 14 85

BIELSKO-BIAŁA

ul. Wzgórze 9
tel. (033) 812 36 48
KATOWICE
pl. Wolności 8
tel. (032) 353 26 20



Rys. M. Dunin-Sulgustowski



POLSKI ZWIĄZEK ALPINIZMU
 Centralny Ośrodek Szkolenia
 „BETLEJEMKA”
 ul. 500 Zakopane, Hala Gąsienicowa

Od kogo
 Kol. Piotr Komar

za co
 opłata za udział
 w kursie instruktorskim
 Polskiego Zw. Alpinizmu

Centralny Ośrodek Szkolenia
 Polskiego Związku Alpinizmu

Betlejemka

- kursy taternicckie
- kursy ski-tour
- kursy lawinowe
- kursy wspinaczki w lodzie
- baza noclegowa

Hala Gąsienicowa,
 34-500 Zakopane, box 399
 tel: 0-18 20 19 124
 gsm: 603 424 101
 betlejemka@poczta.onet.pl
 www.pza.org.pl/tatry/betlejemka

135

Kto o to pyta
 W. Kasper

Nawet najlepsi uczyli się u nas...

